

wyborcza

DUŻYFORMAT

NR 27/1540

MAGAZYN REPORTERÓW

17 LIPCA 2023



RYS. PIOTR CHATKOWSKI

Reportaż Magdy Roszkowskiej

DZIECI SIĘ BOJĄ, MATKI PŁACĄ

1RP

Alienacja rodzicielska



Ślubuję ci

– Chcę tylko odzyskać dzieci – deklaruje Marek.

Od blisko sześciu lat 17-letni dziś Paweł i 10-letnia dziś Ola odmawiają kontaktu z ojcem.

Marek wszczął przeciwko byłej żonie, Agacie, 273 postępowania cywilne (według danych portalu sądów powszechnych). Ponad 300 razy zawiadamiał organy ścigania o możliwości popełnienia przez nią przestępstwa. Niektóre z jego wniosków są nieuprawnione, ale wciąż je składa. Na przykład rok temu czwarty raz domagał się, by Agatę umieszczono w szpitalu psychiatrycznym. Choć taki wniosek może złożyć tylko najbliższa rodzina. A Agata i Marek rozwiedli się pięć lat temu. Marek składa więc te wnioski w imieniu dzieci. Zanim sąd uzna wniosek za nieuprawniony i zamknie sprawę, miną miesiące. W międzyczasie o tym, że Agata – funkcjonariusz publiczny – jest chora psychicznie, Marek informuje jej przełożonych, placówki edukacyjne dzieci, pracowników opieki społecznej, policję albo świadków zeznających w którejś z licznych spraw.

– Zapracował na to, by dzieci się go bały – uważa Agata.

– To jej wina. Wyprala im mózg – utrzymuje Marek.

Sąd zagroził Agacie, że za każde spotkanie z ojcem, na które dzieci nie będą chciały przyjść, zapłaci karę 1 tys. zł. Zebrało się już 230 tys. zł. Na razie musiała byłemu mężowi wypłacić 40 tys. zł.

ATAK MANII

Gdy w listopadzie 2015 roku Agata prosi Marka o separację, nie myśli o ustalaniu jego kontaktów z 9-letnim synem i 2,5-letnią córką. Jest dla niej oczywiste, że opieką się podzielą, bo Marek angażuje się w ich wychowanie.

O tym, co dzieje się później, Agata zeznaje w połowie marca 2016 roku w komendzie policji. Według zeznań: Marek grozi, że najpierw zabije ją, potem siebie. Na noc Agata zamyka drzwi sypialni na klucz. Marek pod nimi czatuje. Rano wpada na przeszukiwanie pokoju, bo podejrzewa żonę o romans. Po dwóch tygodniach kobieta ucieka z dziećmi do wynajętego

mieszkania. Składa pozew o rozwód, a wraz z nim proponowany harmonogram kontaktów dzieci z ojcem: dwa weekendy w miesiącu. Jeśli dzieci chcą zostać z ojcem dłużej, nie będzie oponować. Tymczasem Marek – funkcjonariusz publiczny – referuje Agacie, co danego dnia robiła w pracy i kto odwiedzał jej gabinet. Gdy kobieta wraca do domu, na ulicy nagrywają ją jacyś mężczyźni. W Biedronce ktoś podchodzi i nuci melodię z „Ojca chrzestnego”. Marek odwiedza sąsiadów wynajętego mieszkania i informuje ich o chorobie psychicznej żony. Agacie zapowiada, że zbiera na nią „kwity” i ją zniszczy. Mówi: walkę o dzieci już przegrałaś. Agacie puszczają nerwy: bierze zamach, paznokciami zadrapuje skroń Marka. Mąż zawiadamia policję o pobiciu. Wychodzi i zabiera dzieci. Dwa dni później, w środku dnia, gdy dzieci są w szkole, a Marek w pracy, Agata przyprowadza ślusarza do domu, z którego uciekła. Jest jego jedyną właścicielką. Chce zmienić zamki. Niespodziewanie mąż podejżdża pod posesję. Goni Agatę, przewraca na podłogę i rzuca się na nią. Widząc to, ślusarz dzwoni na policję, a Marek na pogotowie. Dyspozytora informuje: żona cierpi na chorobę dwubiegunową (ChAD), ma atak manii. Jest niebezpieczna.

Do karetki Agata wsiada dobrowolnie. Chce mieć na piśmie zaświadczenie, że jest zdrowa. W szpitalu psychiatrycznym spędza pięć dni. Lekarze wykluczają stan manii czy ChAD. Diagnostują zaburzenia depresyjno-lękowe. Leczyła się na nie już wcześniej, co na wniosek sędziego potwierdzi jeszcze biegły psychiatra. Gdy Agata wychodzi ze szpitala, do jej nowych przełożonych – właśnie zmieniła pracę – przychodzi faks wysłany z jednostki służb, w której pracuje Marek. Informuje, że nowa pracownica zakończyła pobyt na zamkniętym oddziale psychiatrycznym. Agata z miejsca ląduje na dywaniku u szefa.

Marek odpowiada na pozew rozwodowy pod koniec marca 2016 roku. Nie inwigilował żony. Nie przewrócił jej i nie dociskał do podłogi. Agata manipuluje ludźmi, kłamie, jest apodyktyczna, niedobra dla niego i dzieci, jest też seksoholiczką, która jednak zapomina o potrzebach męża, ponieważ obsesyjnie opiekuje się córką. Przede wszystkim jest chora psychicznie.

Jednocześnie Marek kategorycznie odmawia rozwodu.

ZABARYKADOWANY W KARETCE

Na pierwszej rozprawie pod koniec marca 2016 roku Agata informuje sędziego: mąż mnie zastrasza. Pokazuje zeznania, które złożyła na policji, ale sędzia je ignoruje.

Tymczasem Marek nagrywa żonę. Gdy wieczorami dzwoni, rozmowę prowadzi tak, by pokazać Agatę jako osobę histeryczną, przeklinającą i wybuchową. Sędzia oddala jego prośbę, by nagrania uznać za materiał dowodowy, ale ich transkrypcje trafiają do akt sprawy. Marek zgłasza przemoc w rodzinie. Agata zostaje przesłuchana wraz z dziećmi w komendzie. Jedna z policjantek mówi jej: syn z polecenia ojca nie tylko nagrywał matkę, ale i słuchał nagrań z telefonicznych kłótni rodziców. Marek zbiera też esemesy. Na przykład takie, w których Agata nazywa go gnojem albo pisze, że najlepiej byłoby, gdyby się powiesił. Składa zawiadomienie o podżeganiu do samobójstwa.

Przez cały czas Agata zgodnie z postanowieniem sądu wysyła dzieci na spotkania z ojcem – dwa weekendy w miesiącu. Marek do 2021 roku mieszka w jej domu: sąd na czas trwania postępowania rozwodowego przydziela mu na wyłączność jeden z pokoi, po wyroku Marek nie wyprowadza się przez prawie dwa lata.

Paweł i Ola spędzają z ojcem sierpień 2017 roku. Od nowego roku szkolnego sędzia Sądu Okręgowego w G., która prowadzi sprawę rozwodową, postanawia wydłużyć wizyty: syn i córka będą u Marka cztery noce z rzędu dwa razy w miesiącu.

– Mamo, chcę wrócić do ciebie – słyszy Agata w słuchawce głos syna. Jest niedziela około południa. To pierwszy długi weekend z ojcem: dzieci mają być u Marka do wtorku. Agata słyszy, że zdenerwowany Paweł kłóci się z ojcem. Syn jest dzieckiem w spektrum autyzmu. Wszelkie zmiany w codziennej rutynie są dla niego trudne. Agata zabiera ulubioną grę planszową Pawła i jedzie go uspokoić. O pomoc prosi też swoją matkę. Po godzinie syn jest spokoj-

MAGDA
ROSKOWSKA

FOT. GETTY IMAGES

**Trybunał Konstytucyjny orzekł:
nie można karać rodzica,
gdy dziecko z własnej woli nie chce utrzymywać
kontaktów z drugim rodzicem.
Ale biegli nadal stwierdzają manipulację.
A sądy nakładają kary**

POZEW ZA POZWEM

ny, ale zapowiada, że jeśli go nie zabiorą, ucieknie w nocy. Marek szarpie się z Agatą. Ona upada. On dzwoni na policję. Policjanci rozmawiają z Pawłem i decydują: nie zostanie u ojca. Tymczasem 4-letnia Ola wyciąga ręce do matki. Marek chwytą córkę i przytrzymuje. Dziecku zaczyna z nosa lecieć krew. Policjanci wzywają karetę. Krwotok jest wynikiem stresu, orzekają sanitariusze. Ale Marek złożył potem zawiadomienie, że to babcia uderzyła jego i Olę.

Agata, bojąc się o córkę, deklaruje, że w takim razie ona z matką i dziećmi zostaną u Marka na noc.

Ale Marek z Olą na rękach biegnie do karetki, która właśnie miała odjechać.

Po dwóch godzinach policjanci informują funkcjonariuszy służb, że ich pracownik zabarykadował się w karetce. Na miejscu pojawiają się koledzy Marka wraz z policyjnym zespołem psychologów. Marek zabiera córkę do samochodu kolegi, pod wieczór wracają do domu. Funkcjonariusze służb informują Agatę, że rozmawiają z dyżurnym sędzią rodzinnym, by umieścić dzieci w pogotowiu opiekuńczym. Marek przystaje na to. Agata protestuje. Ostatecznie sędzia nie wyraża zgody na odebranie dzieci. Agata wraz z matką i dziećmi wracają do mieszkania w po-

niedziałek. Po południu Marek wali i kopie w drzwi – krzyczy, że dzieci miał mieć do wtorku. Kobieta składa w sądzie wniosek o uchylenie kontaktów ojca z dziećmi. Chce, by Marka zbadal psychiatra.

Sąd badania nie zleca, ale kontakty ogranicza do kilku godzin w miesiącu. A Paweł od tej pory kategorycznie odmawia spotkań z ojcem.

SYNU, NIEWAŻNE, CZEGO CHCESZ

Agata proponuje w sądzie: by uniknąć bezpośrednich spotkań z Markiem, będzie przyprowadzała dzieci pod salę zabaw, a przydzielony do nadzorowania spotkań kurator zaprowadzi je do ojca. Sąd ustala jednak, że Agata pod salą zabaw ma osobiście przekazać dzieci ojcu. Takich spotkań, jak policzyła Agata, jest 44. Za każdym razem, gdy syn widzi, jak Agata odchodzi, bierze siostrę za rękę i idzie za matką. Marek podąża za nimi. Zagrada im drogę. Czasem rzuca się na maskę samochodu, w którym są dzieci, lub kładzie się pod jego koła.

W 2018 roku podczas jednej z rozpraw sędzia wspomina, że Paweł i Ola mogą trafić do pieczy

zastępczej, jeśli rodzice nie dojdą do porozumienia. Agata proponuje więc: niech Marek spotyka się z dziećmi w domu jej ojca. Sąd wyznacza kontakty na dwa kolejne miesiące. Dziadek szykuje na wizyty tablice rysunkowe dla Oli, komputer z gramami edukacyjnymi dla Pawła. W mailach do ojca Agaty Marek zarzuca mu, że za mało animuje spotkania. Po wizycie chce osobiście oddawać Agacie dzieci. Gdy Paweł ma ochotę wyjść przed końcem spotkania, Marek poleca dziadkowi zamknąć drzwi na klucz. Innym razem przynosi prezent, ale tylko dla córki. Dziadek w sprawozdaniach ze spotkań notuje: synowi i ojcu potrzeba więcej czasu. W międzyczasie Marek 27 razy pozywa dziadka dzieci i domaga się od niego pieniędzy za to, że spotkania zazwyczaj trwają krócej niż umówione dwie godziny. Tata Agaty nie doczeka do rozpraw. Umiera w ubiegłym roku.

W czerwcu 2019 roku zapada prawomocny wyrok rozwodowy, zgodnie z którym Marek ma odbierać dzieci z miejsca ich zamieszkania. Puka do drzwi wynajmowanego przez Agatę lokalu w co drugą sobotę i niedzielę miesiąca o 10 rano. Paweł otwiera i mówi, że nie chce iść z Markiem. Pyta o zdanie młodszą siostrę. Ona też odmawia i ucieka w głąb mieszkania. Potem jest różnie. Czasem Pawłowi udaje się zamknąć drzwi, wtedy ojciec godzinami puka i krzyczy. Czasem Marek blokuje drzwi nogą albo przynosi drewniane kliny, wtedy szarpie się z synem. Powtarza, że zdanie Pawła nie ma znaczenia, bo zgodnie z postanowieniem sądu jest pod jego opieką do godziny 17. Policję wzywają sąsiedzi. Paweł albo babcia. Takich interwencji Agata naliczyła kilkadziesiąt. Marek pokazuje wtedy policjantom postanowienie sądu i legitymację funkcjonariusza. Żąda, by pomogli mu wejść do środka i odebrać dzieci.

Paweł mówi potem psychologowi, że marzy o tym, by ojciec wreszcie dał mu spokój.

Wizytę w marcu 2020 Marek kończy z zarzutem naruszenia nietykalności cielesnej funkcjonariusza, nieuprawnionego wtargnięcia do mieszkania byłej żony i groźenia włamaniem oraz zabraniem dzieci. Właściciel mieszkania informuje potem Agatę, że nie przedłuży jej umowy najmu. Powód: sąsiedzi obawiają się Marka.

Proces w sprawie naruszenia nietykalności cielesnej funkcjonariusza zaczyna się po dwóch i pół roku w listopadzie 2022 roku. Policjanci zeznają, że Marek, próbując się dostać do wynajmowanego przez Agatę mieszkania, popchnął i przewrócił jednego z nich. Marek zaprzecza. Podczas pierwszej rozprawy prokurator mówi, że oskarżony popełnił zarzucane mu czyny, ale karać go nie należy, działał w imię wyższych wartości: walczył o dzieci. – W końcu każdy jest ojcem – argumentuje. O bezpieczeństwie dzieci nie wspomina, choć Marek na tej samej rozprawie zeznaje, że jako funkcjonariusz próbował pożyczyć od antyterrorystów sprzęt do wyważania drzwi.

WHO WYKREŚLA ALIENACJĘ RODZICIELSKĄ

Paweł w lipcu 2023 roku skończy 17 lat. Od blisko sześciu deklaruje, że nie chce się widzieć z ojcem. Dziesięcioletnia Ola odmawia spotkań bez brata. Ale zgodnie z kodeksem rodzinnym i opiekuńczym dzieci mają nie tylko prawo, ale i obowiązek utrzymywania kontaktów z obojgiem rodziców.

Sąd w ciągu minionych ośmiu lat zlecił cztery badania przez Opiniodawczy Zespół Sądowych Specjalistów (OZSS). Specjaliści niezmiennie oceniają, że Agata i Marek wikłają dzieci w konflikt. W ostatniej opinii z końca ubiegłego roku, podobnie jak w dwóch poprzednich, specjaliści piszą, że Agata wpływa na to, co Paweł i Ola myślą o ojcu. Co do zachowań Marka, zdaniem specjalistów są one niewłaściwe, ale wynikają z desperacji „rodzica alienowanego”.

Tymczasem w lutym tego roku Polskę odwiedza specjalna wysłanniczka ONZ Reem Alsalem. Pracuje nad raportem „Opieka nad małoletnimi, przemoc wobec kobiet i dzieci”. Z dokumentu opublikowanego w kwietniu wynika, że w Polsce i innych krajach sądy oraz biegli bagatelizują przemoc zgłaszaną przez matki i dzieci w momencie rozpadu związku, uznając ją za element „konfliktu okolorozwodowego”. Według raportu takie podejście to efekt propagowania wśród pracowników wymiaru sprawiedliwości teorii alienacji rodzicielskiej. Mówi ona: gdy dziecko w czasie rozwodu odmawia kontaktu z jednym rodzicem, najpewniej zostało zmanipulowane przez drugiego rodzica. Gdy dziecko zgłasza, że obawia się opiekuna, bo doświadczyło z jego strony nadużyć – najpewniej zmyśla. Podobnie

„Syn za rok będzie dorosły.

Co zamierza pan zrobić?”

*„Pozwę go. Będziemy się spotykać
przed sądem”*

osoba dorosła, gdy mówi o przemocy, której sprawcą jest były partner, najprawdopodobniej mści się i chce alienować dziecko od drugiego rodzica.

Na świecie teoria alienacji rodzicielskiej zyskuje popularność już w latach 90., głównie dzięki prawnikom Woody'ego Allena oskarżonego o molestowanie adoptowanej córki. W Polsce od początku XXI wieku zaczynają ją rozpowszechniać grupy zrzeszające ojców. Z czasem o krzywdzie emocjonalnej dzieci odmawiających kontaktu z jednym z rodziców głośno mówią też inne organizacje, jak Komitet Ochrony Praw Dziecka, Fundacja ITAKA, biegli sądowi i przedstawiciele Stowarzyszenia Sędziów Rodzinnych. W 2016 roku Ministerstwo Sprawiedliwości kierowane przez Zbigniewa Ziobrę wysłała do prezesów sądów apelacyjnych list z prośbą, by wiedzę o tym, jak przeciwdziałać alienacji, rozpowszechniać wśród pracowników wymiaru sprawiedliwości. Pełną parą ruszają szkolenia. Prowadzi je m.in. Instytut Ekspertyz Sądowych.

Tymczasem w 2020 roku WHO usuwa pojęcie alienacji rodzicielskiej z Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób ICD-11, bo nie odnosi się ono do zdrowia psychicznego.

A zanim jeszcze zainicjuje prace nad raportem ONZ, zaniepokojenie tym, co dzieje się w polskich sądach, wyraża rzecznik praw obywatelskich. Marcin Wiącek w grudniu 2021 roku pisze do ministra Zbigniewa Ziobry. Apeluje, by specjaliści OZSS wnikliwiej badali przypadki, gdy jeden rodzic zgłasza przemoc ze strony drugiego, i by nie winili matek o złe relacje ojca z dziećmi, gdy ten stosuje przemoc wobec byłej małżonki. Rzecznik upomina też, by biegli, opisując sytuację rodziny, nie używali pojęcia alienacji rodzicielskiej, bo „niesie ze sobą duże ryzyko wtórnej wiktymizacji kobiet, które sprzeciwiają się lub są niechętne kontaktom z dziećmi z powodu przemocy, jakiej doznały od ojca dziecka”. O tym, że tak się w naszym kraju dzieje, rzecznik wie z raportu Grupy Ekspertów Rady Europy ds. Przeciwdziałania Przemocy wobec Kobiet i Przemocy Domowej (GREVIO) opublikowanego we wrześniu 2021 roku.

TRYBUNAŁ: KARANIE NIEZGODNE Z KONSTYTUCJĄ

Z informacji dostępnych w sieci wynika, że w Polsce szkolenia z praktycznego wykorzystania pojęcia alienacji w pracy sędziów, specjalistów OZSS i kuratorów nadal się odbywają. Na przykład rzecznik prasowy Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury prokurator Piotr Kosmaty informuje mnie, że szkolenie „Rola sądu i kuratora zawodowego w zapobieganiu alienacji rodzicielskiej” odbędzie się w tej instytucji w 2024 roku.

Wprawdzie w maju rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w G., któremu podlega OZSS, zapewnił mnie, że zatrudnieni tam specjaliści już nie stosują pojęcia alienacji rodzicielskiej i zdążyli się zapoznać z raportem GREVIO, ale Agata została już uznana przez nich za matkę alienującą dzieci. A skoro tak, Marek z etykieta „rodzica alienowanego” składa kolejne wnioski do sądu. Aktualnie domaga się od Agaty zapłaty 190 tys. zł za to, że była żona 190 razy utrudniała jego kontakty z dziećmi.

Agata (która na mocy poprzedniego wyroku przelala już Markowi 40 tys. zł) nie jest rekordzistką. Rekordowa kara, do jakiej dotarły autorki raportu stowarzyszenia Eurydyka (wspiera kobiety doświadczające przemocy w trakcie rozwodu i po nim i oskarżane o nastawianie dzieci przeciw ojcom), nałożona na matkę przez Sąd Rejonowy w Wągrowcu, wyniosła 785 tys. zł. Z raportu wynika, że zdarza się, że sąd karze matkę i zobowiązuje je do zapłaty należności ojcu, który od lat nie płaci alimentów.

W czerwcu 2022 roku Trybunał Konstytucyjny orzekł: nie można karać rodzica, gdy dziecko

Rekordowa kara nałożona przez sąd na matkę wyniosła 785 tys. zł

z własnej woli nie chce utrzymywać kontaktów z drugim rodzicem. To niezgodne z konstytucją. Ale OZSS nadal stwierdzają manipulację rodzica. Nawet gdy dzieci mają 13 lat – tak jak Paweł – i ich wola powinna być brana pod uwagę przez sąd.

Pytam rzecznika prasowego Sądu Okręgowego w G., czy dzieci, które widziały, jak rodzic szarpie się z policjantem, blokuje drzwi, siłuje się z dziećmi, godzinami puka do drzwi, krzycząc, kilkakrotnie rzuca się na maskę oraz pod koła samochodu; które słyszały od rodzica, że ich wola nie ma znaczenia, że umieszczenie ich w pogotowiu opiekuńczym to dobry pomysł – mogą z własnej woli odmawiać z nim spotkań.

Rzecznik odpowiada enigmatycznie: sąd za każdym razem bierze pod uwagę cały materiał dowodowy, a nie wybrane jego elementy.

KALENDARZ ROZPRAW I PRZESŁUCHAŃ

Kalendarze Agaty – od kiedy osiem lat temu zdecydowała się odejść od Marka – wyglądają podobnie: nie ma w nich dat spotkań ze znajomymi. Są terminy rozpraw i przesłuchań. W sumie odbyła się ich już blisko setka. Z portalu sądów powszechnych na maila Agaty przychodzą zawiadomienia o tym, co dzieje się w poszczególnych postępowaniach. Średnio dwa na dzień. Dużo miejsca zajmują alerty: „Dziś ostateczny termin! Wyślij odpowiedź!”. Bo oprócz maili są też pisma z sądu. Agata musi na nie odpowiedzieć. W tej chwili z jej udziałem toczy się 21 postępowań cywilnych. Pocztę odbiera kancelaria prawna. – Analizujemy korespondencję, doradzamy, ale na pisma pani Agata odpowiada sama – mówi mecenas Agnieszka Plejewska, pełnomocniczka Agaty. – Jeśli mielibyśmy zajmować się wszystkimi sprawami, które byłyby jej wytacza, byłaby naszą jedyną klientką. Rekord padł, gdy do Agaty w ciągu jednego dnia przyszło 16 powiadomień.

Założenie sprawy w sądzie rodzinnym lub cywilnym kosztuje Marka 30 zł. Za to zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa są darmowe. Marek zgłasza: uprowadzenie małoletnich, znęcanie się nad nimi i dziećmi, pozbawianie ich wolności, działanie na szkodę interesu publicznego, naruszanie nietykalności cielesnej lub składanie fałszywych zeznań. Takich zgłoszeń było ponad 300. Jak dotąd sprawy umarzono lub odmawiano wszczęcia postępowania. Pewnego razu Marek zgłaszał zaginięcie dzieci, domagając się uruchomienia procedury Child Alert, gdy Paweł i Ola byli w tym samym co on komisariacie.

Marek założył rodzinie pięć Niebieskich Kart. Agata figuruje w tych zawiadomieniach jako sprawczyni przemocy. Ofiarami są Marek i dzieci. Kobiety od lat odwiedzają pracownicy opieki społecznej. Chodzą po sąsiadach, rozpytując, czy Agata bije dzieci, czy się nad nimi znęca psy-

chicznie. Paweł i Ola dwa razy byli przesłuchiwanymi w niebieskim pokoju w komendzie. Za każdym razem, gdy zespół interdyscyplinarny powołany do prześwietlenia sytuacji rodziny nie stwierdza przemocy i zamyka procedurę, Marek wysyła kolejne zgłoszenie. Pracownik opieki społecznej anonimowo potwierdza: – Ten pan zarzuca nas różnymi pismami. My musimy odpowiadać. Sensu w tym nie ma, tylko chęć zniszczenia tej pani.

W kalendarzach Agaty są jeszcze daty spotkań z kuratorami sądowymi. W marcu 2016 roku, już na początku postępowania rozwodowego, sędzia ograniczyła Agacie i Markowi władzę rodzicielską i objęła rodzinę nadzorem kuratorskim, uznając, że „oboje rodzice wikłają dzieci w konflikt”. W 2021 roku trzeci z kolei kurator sugerował, by uchylić kuratelę. Według wszystkich trzech Agata bez zarzutu opiekuje się synem i córką. Mimo to sędzia nadzór utrzymuje.

Donosy dostają też przełożeni Agaty. Słuchają nagrań kłótni. Czytają, że Agata – funkcjonariusz publiczny – znęca się nad Markiem. Studiują listy leków, które zażywa na rzekomą chorobę dwubiegunową. Mimo upływu lat zapal Marka nie stygnie. Niedawno, rozmawiając z sekretarką przełożonego, Agata zerknęła na ekran jej komputera. W okienku z pocztą mniej więcej co czwarty mail był od byłego męża.

Współpracownik Agaty przyznaje: – Wszyscy wiemy, co on na nią wypisuje. Przez niego miała dwa postępowania dyscyplinarne. Marek zgłosił, że żona go pobila i utrudnia kontakty z dziećmi. Wybroniła się, ale awans jej zablokowano. Góra boi się, co Marek jeszcze wymyśli i czy Agata się nie rozspie. Psychicznie jest zmaltrretowana.

Trzy razy składała do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przez Marka przestępstwa z artykułu 190a – nękanie. Sprawy dwa razy umorzono: „z uwagi na brak danych dostatecznie uzasadniających popełnienie czynów”. Jedna wciąż się toczy. Od prokuratora kierującego postępowaniem Agata usłyszała, że Marek ma konstytucyjne prawo do składania skarg i zawiadomień.

Rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w G., zapytany przeze mnie, czy pozywanie byłej żony setki razy, nieustanne zawiadamianie o popełnieniu przez nią przestępstwa i pomawianie jej przez różnymi instytucjami o chorobę psychiczną może być formą przemocy – uznał pytanie za retoryczne i redukując opis sprawy do wybranych okoliczności.

W domu Agaty konstytucyjne prawo Marka zajmuje 29 segregatorów i dwa wielkie kartony.

– Mój były mąż z wymiaru sprawiedliwości zrobił maszynę przemocy, którą mnie mieli – mówi Agata. I dodaje: – Znam prawo, procedury, wiem, jak odpowiadać na pisma. Ale zastanawiam się, co by ze mną było, gdybym zamiast prawniczką była lekarką, nauczycielką albo kasjerką. Wiem, że to nie przydarza się wyłącznie mnie.

Sędzia sądu rejonowego w uzasadnieniu wyroku z końca grudnia 2022 roku w sprawie o zmianę wyroku rozwodowego wymienia 33 wnioski, które Marek złożył tylko w toku tego jednego postępowania, które wszczął, domagając się przekazania mu opieki nad dziećmi. Wyliczenie zajmuje sędzi dwiema stronami. Jej uwagi nie umyka fakt, że były mąż składa te same wnioski w różnych sądach, że w prokuraturach z jego inicjatywy toczy się kilkadziesiąt postępowań, że do przełożonych Agaty skargi na nią przychodzą niemal codziennie. Sędzia zobowiązuje oboje rodziców do pójsicia na terapię. Ale to Agata – zdaniem sądu – powinna bardziej się starać i zadbać o to, by dzieci chciały się widzieć z ojcem. Agata w czasie postępowania składa tylko jeden wniosek: by spotkania ojca z dziećmi odbywały się bez jej udziału – w ten sposób chce uniknąć kontaktu ze swoim prześladowcą. Sędzia nie przychyliła się do jej prośby.



OGŁOSZENIE 34262654



ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER REPORTERSKI

Historie, których nie da się zapomnieć

wyborcza.pl/newslettery

DZIECI DO PIECZY ZASTĘPCZEJ

– Ile pan pisze skarg?

– Przynajmniej jedną dziennie. Do tego całą niedzielę poświęcam na lekturę korespondencji z sądu. Dostaję około 40 przesyłek tygodniowo. Na niektóre trzeba odpowiedzieć. Czytam też ustawy i szukam przepisów, które jeszcze mógłbym wykorzystać. W ten sposób rozładuję emocje. Wystarczy, że napiszę do dzieci esemesa, a one nie odpowiedzą – i jest skarga.

– Ale na co?
– Że nie mam kontaktu z dziećmi.
– Są zobowiązane, by odpisywać?
– Nie mam problemu z tym, że nie odpisują, wiem, czyja to wina: tej kobiety.
– A może dzieci się pana boją?
– One tak nie rozumują. Mają syndrom gotowej żaby.

– Co to znaczy?
– Kiedy mieszkały w wynajmowanym mieszkaniu, to ja najpierw bardzo długo pukałem i głośno mówiłem, żeby ze mną poszły. Potem pukałem i intensywnie waliłem, ale tylko kilka razy. Dopiero w kolejnym etapie waliłem wielokrotnie otwartą dłoń, co generowało ogromny hałas. Ale one zdążyły się przyzwyczaić, że tata tak robi. Kiedy na ulicy blokowałem samochód, w którym siedziały, też się nie bały.

– Skąd pan wie?
– A czego miałyby się bać? Ojca, który chce je widzieć dłużej niż kilka minut? Kiedyś udało mi się ich zablokować na dwie i pół godziny!

– Z czym im się pan kojarzy?
– Z tym, że nie odpuszczam. Wiem, że mają dosyć, że chciałyby mieć ustabilizowane życie, tylko czemu beze mnie? Sąd uznał, że dla własnego dobra powinny mnie widzieć.

– Myślał pan o innych rozwiązaniach?
– Jakich?
– Odwiedzenie psychologa.
– Byłem, ale oni mi nie powiedzą, jak odzyskać dzieci. Sami mają problemy, korzystają z superwizji.

– Czy generowanie setek pozwów przeciw matce dzieci to nie jest przemoc?
– A kto to wszystko zaczął? I kto stosuje przemoc psychiczną wobec mnie i dzieci?

– Ale to dzieci odmawiają spotkań z panem.
– Specjaliści z OZSS uważają inaczej. One mają zaburzoną matkę. Sąd powinien przymusić ją do leczenia. Powinien odebrać jej dzieci i przyznać opiekę mnie albo skierować dzieci do pieczy zastępczej. Wtedy stopniowo odbudujemy więź. Przewiduję, że z Olą zajmie to 15 minut. Z Pawłem może dwa dni.

– Syn za rok będzie dorosły. Co zamierza pan zrobić?

– Pozwę go, bo rodzice i dzieci powinni okazywać sobie szacunek i nawzajem się wspierać. Będziemy się spotykać przed sądem.

– I co mu pan powie?
– „Chcę ci pokazać, jak bardzo się staram, jak cię Kocham”.

ZACHOWANIA ADEKWATNE

Kilka lat temu Marek zostaje zwolniony ze służb i wysłany na wcześniejszą emeryturę. Lekarze z MSWiA podtrzymują tę decyzję i diagnozują u Marka zaburzenia osobowości upośledzające reakcje adaptacyjne. W uzasadnieniu piszą o myślach przesładowczych i urojeniowym interpretowaniu rzeczywistości, o strywności poznawczej i trudnościach w ocenie własnych stanów psychicznych. Tymczasem psychiatra powołany przez sąd rodzinny w styczniu ubiegłego roku uznaje zachowania Marka za adekwatne do sytuacji. „Nie wykazuje tendencji do reakcji odwetowych czy pniaczych”. Co innego Agata. Ona – zdaniem tego samego biegłego – zagraża dobru dzieci.

Na jakiej podstawie mógł stwierdzić coś takiego? Czytał akta i wcześniejsze, odmienne opinie psychiatrów, ale nigdy nie rozmawiał z Agatą, bo odmówiła udziału w badaniu. Wątpliwości co do słuszności diagnozy ma nawet sędzia sądu rejonowego, ale pisze o nich dopiero na 43 stronie uzasadnienia wyroku.

Marek domaga się wypłaty odszkodowania za zerwane więzi rodzinne. Płacić mają matka, ojczym i brat Agaty, sędziowie wydający wyroki nie po jego myśli, prokuratorzy umarzający zainicjowane przez niego postępowania, pracownicy opieki społecznej, funkcjonariusze policji. W sumie kilkadziesiąt osób.

Paweł swój pierwszy pozew dostanie za rok. Ola – dopiero za osiem lat. O ile nie trafi wcześniej do pieczy zastępczej. ●

*Imiona bohaterów zostały zmienione.

TERAZ MATKI NA CENZUROWANYM

Z MECENASEM
DR. **GRZEGORZEM WRONĄ**,
PIERWSZYM POLSKIM
PRZEDSTAWICIELEM W
GRUPIE EKSPERTÓW
RADY EUROPY DS.
PRZECIWDZIAŁANIA
PRZEMOCY WOBEC KOBIET
I PRZEMOCY DOMOWEJ
(GREVIO), SPECJALISTĄ
DS. PRZECIWDZIAŁANIA
PRZEMOCY W RODZINIE,
ROZMAWIA **MAGDA
ROSZKOWSKA**

Czy polski sąd, decydując o losie dziecka po rozstaniu rodziców, bierze pod uwagę przemoc, jakiej ono doświadczyło ze strony opiekunów?

– To zależy. Dla sądu jest istotne, czy dziecko doświadczyło przemoc w sposób bezpośredni. Natomiast dla jego decyzji o tym, kto będzie opiekował się dzieckiem i jak będą wyglądały kontakty z drugim rodzicem, nie ma znaczenia fakt, czy dziecko było świadkiem przemocy jednego rodzica wobec drugiego. Sędziowie w tej kwestii powtarzają za biegłymi: jeśli rodzic stosuje przemoc wobec drugiego rodzica, nie oznacza to, że zagraża on dobru dziecka.

Według polskiego wymiaru sprawiedliwości patrzenie na przemoc nie zagraża dobru dziecka?

– Polska ratyfikowała konwencję stambulską w 2015 roku. W jej preambule jest wyraźnie napisane: dziecko, które jest świadkiem, również doznaje przemoc. Z kolei artykuł 31 konwencji zobowiązuje sędziów, by decydując o opiece i kontaktach dziecka z rodzicem, wzięli pod uwagę wszelkie formy przemocy opisane w dokumencie. Zaznaczono, że rodzic korzystający ze swoich praw do opieki czy widzeń nie może zagrażać bezpieczeństwu dzieci i drugiego rodzica.

A co na to polskie prawo rodzinne?

– Postanowienia konwencji niestety nie przekładają się na prawo rodzinne obowiązujące w Polsce. Co prawda pod koniec czerwca zmieniły się niektóre przepisy ustawy o przeciwdziałaniu przemoc domowej. Na przykład dziecko świadkiem jest teraz osobą doznającą przemoc. Dostrzeżona została też przemoc dokonywana po rozpadzie związku przez byłego partnera. Tyle że sędziowie z wydziałów rodzinnych sądów okręgowych i rejonowych, wydając wyroki rozwodowe czy orzekając o prawach do opieki i kontaktach, kierują się nie przepisami ustawy, ale artykułami kodeksu rodzinnego i opiekuńczego – to nie uległy

zmianie. A wzorem innych krajów mogłyby: na przykład w kodeksie austriackim istnieje przepis, który zakazuje przyznawania praw do opieki rodzicowi stosującemu przemoc wobec drugiego rodzica, bo dziecko jako świadek również jej doświadczyło.

Czy mówimy wyłącznie o przemoc fizycznej?

– Nie. Mówimy o wszelkich formach przemoc: psychicznej, fizycznej, seksualnej, ekonomicznej.

Czy polski wymiar sprawiedliwości jest przygotowany na sytuacje, w których sam staje się narzędziem przemoc – na przykład gdy sprawca zakłada setki spraw, zasypuje zawiadomieniami organy ścigania i pomawia byłego partnera?

– To trudna kwestia. Z jednej strony każdy obywatel ma konstytucyjne prawo do składania wniosków i zawiadomień. Ma prawo, by rozpoznał je niezawisły i niezależny sąd. To istota demokracji. Ale umyślne wykorzystywanie procedur do stosowania przemoc jest czymś innym. Takie zachowanie jest nazywane pieniactwem sądowym. W Wielkiej Brytanii próbuje się je ograniczyć, przydzielając pieniactwom kuratora, który ocenia zasadność kolejnych wniosków. W Polsce instytucje nie chronią obywateli przed tego typu atakiem. Osoba pozywana czy pomawiana musi się bronić sama. Najczęściej jednak jest tak psychicznie wyczerpana, że nie ma siły się bronić.

Co konkretnie może zrobić osoba pokrzywdzona?

– Wytoczyć pozew o zniesławienie lub naruszenie dóbr osobistych, może zgłosić nękanie. Takie sprawy między rozwodzonymi się lub byłymi małżonkami dość często są jednak umarzane, bo działanie sprawcy wpisuje się w konflikt okolorozwodowy.

Dlaczego sędziowie i biegli takie sytuacje nazywają konfliktem okolorozwodowym i obwiniają rodzica sprawującego opiekę nad dziećmi za to, że te odmawiają kontaktu z rodzicem, który jest sprawcą przemoc?

– W orzecznictwie przyjmuje się, że rodzic, z którym dzieci mieszkają, ma zadbać o to, by te chciały się spotykać z drugim rodzicem. Przemoc jednego rodzica wobec drugiego nie ma dla sądu rodzinnego i biegłych znaczenia, bo nie zagraża dobru dziecka. Może się zdarzyć, że osoba doznająca przemoc będzie przez sąd upominana i zobowiązana – na przykład poprzez zagro-

żenie karą – do nakłaniania dzieci do kontaktu ze sprawcą przemoc.

Z czego to wynika?

– Z myślenia: skoro sąd powierzył ci opiekę nad dzieckiem, to twoim zadaniem jest egzekucja rozszczeń sądu wobec dziecka. Tłumaczenie, że dziecko odmawia kontaktu, jest pozbawione sensu, bo wtedy na sali sądowej pada pytanie: czy kiedy nie będzie chciało pójść do dentysty, to będzie chodziło z próchnicą? Dziecko ma się słuchać, bo my, dorośli, wiemy, co jest dla niego lepsze. Taka to filozofia. Z drugiej strony w kodeksie byłyby pani w stanie wydając decyzje dotyczące dziecka, powinien uwzględnić jego rozsądne życzenie. W tym celu sąd może powołać biegłych z opiniodawczych zespołów sądowych specjalistów (OZSS).

Czy pana zdaniem są oni w stanie w sposób obiektywny ocenić, czy życzenie jest wolą dziecka, czy wynikiem manipulacji rodzica sprawującego opiekę?

– Proszę się zastanowić, czy w ciągu kilku godzin wykonywania testów i rozmowy byłaby pani w stanie obiektywnie stwierdzić, jakim kto jest rodzicem i partnerem. To z założenia jest niemożliwe. Liczy się więc wrażenie, jakie zrobimy, czy się przywitamy, czy usiądziemy przy jednym stole z byłym partnerem i jak wypadniemy w testach. Żalóżmy, że ten partner stosował wobec pani przemoc. Jeśli pani znacznie opowiadać, jaki on straszny, i dodatkowo te słowa potwierdzą dzieci, z dużym prawdopodobieństwem w opinii przeczyta pani, że indukuje dzieciom negatywny obraz ojca. A ta opinia będzie decydować o całym życiu pani rodziny.

W jakim stopniu biegli wciąż opierają swoje opinie na teorii alienacji rodzicielskiej?

– Widziałem bardzo wiele opinii, za sprawą których rodzicowi odbierano dziecko odmawiające kontaktu z drugim rodzicem, argumentując, że brak kontaktu zagraża więzi emocjonalnej dziecka z obojgiem rodziców. Widziałem też opinie – choć było ich znacznie mniej – w których biegli uwzględniali wolę dziecka, mając na uwadze doświadczoną przez nie przemoc. Co istotne, mamy dwie grupy opinii: te wydawane przez specjalistów z OZSS – w Warszawie na taką opinię czeka się ponad rok – i te przygotowywane przez biegłych niezależnych, które sąd dopuszcza na wniosek stron. One są zdecydowanie bardziej zróżnicowane.

A opinie z OZSS?

– Powiem tak: 10 lat temu w opiniach był trend, by wszelkie zgłoszenia o nadużyciach były interpretowane na korzyść matek. Potem nastąpił zwrot o 180 stopni i teraz matki są na cenzurowanym. Podam przykład: był czas, gdy w sprawach o rozwód często pojawiał się zarzut molestowania seksualnego dziecka przez ojca. Wiele z tych zawiadomień okazało się bezpodstawnych, wiele składano, by osiągnąć korzyści procesowe. Teraz mamy sytuację odwrotną: nie daj Boże zgłosisz taki zarzut, bo on obróci się przeciw zgłaszającemu.

A co, jeśli dziecko faktycznie było wykorzystywane seksualnie?

– Jego krzywdą może pozostać niedostrzeżona. Nie możemy w ocenie sytuacji rodzinnej kierować się takim czy innym trendem, stawka jest zbyt poważna: chodzi o właściwie rozpoznanie przypadków przemoc. Czy są rodzice, którzy manipulują dziećmi i włączają je w konflikt, mszcząc się na partnerze? Oczywiście! Ale to nie znaczy, że teraz wszystkich powinniśmy pakować do szufladki z napisem: „rodzic alienujący”. Mamy narzędzia, by rozpoznać, czy do przemoc faktycznie doszło: mamy specjalistów, procedurę Niebieskiej Karty, zespoły interdyscyplinarne, które właśnie do stawiania takich diagnoz zostały powołane. Potrzebujemy przemysłowej zmiany i połączenia tych wszystkich elementów w jedną całość. W uzasadnieniu zeszłorocznego wyroku o niekonstytucyjności kar nakładanych na rodziców pierwszoplanowych sędziowie Trybunału Konstytucyjnego napisali, że dzieci należy wysłuchać – nie oceniać ich „rozsądne życzenie”, ale wysłuchać. W sprawach karnych mamy procedurę jednokrotnego przesłuchania małoletnich przez sędzię, który co cztery lata przechodzi obowiązkowe szkolenie z tej procedury. W sądach rodzinnych i okręgowych, gdzie toczą się sprawy rozwodowe, to także powinien być standard. Rozwód – tak jak on wygląda w Polsce – sam w sobie jest sytuacją przemocową. Sprawy trwają latami, zamiast wyciszać – eskalują emocje stron. By usprawnić system, sędziów w sądach okręgowych i w rejonowych wydziałach rodzinnych powinno być trzy razy więcej. Tymczasem minister sprawiedliwości publicznie twierdzi, że nie ma potrzeby ułatwiać procedury rozwodowej, bo będzie więcej stron. One są zdecydowanie bardziej zróżnicowane. ●



Trzy krzyżyki NA SOŚNIE

**Przed śmiercią
tata powiedział mi:
„Szura, pamiętaj
chodzić na mogiły
i pokazać je ludziom,
którzy będą szukać
swoich zmarłych”**

Z **OŁEKSANDRĄ WASIEJKO**, KTÓRA OPIEKUJE SIĘ GROBAMI POMORDOWANYCH NA WOŁYNIU, ROZMAWIAJĄ **ALEKSANDRA PAKIEŁA** I **WITOLD SZABŁOWSKI**

Witold Szablowski: Coś pani taka niespokojna. Stało się coś?

– Tak, przyjechałam do Polski, ale krowa ma zaraz rodzić. I nie wiem, czy sobie beze mnie poradzą z odebraniem porodu.

W.S.: Poradzą sobie...

– Wnuk mieszka w mieście, nie wiem, czy dobrego siana posypie. A ja mam do krów dobrą rękę. Całe życie spędziłam z krowami. Od dzieciństwa.

Aleksandra Pakieła: A jakie miała pani dzieciństwo?

– Urodziłam się w 1946 roku we wsi Sokół koło Lubomli. Przed wojną to była Polska. Ojciec, na imię mu było Kalennyk, miał własne gospodarstwo. Miałam starszą siostrę – Olhę. Ona kochała szyc, a ja cały czas spędzałam na lepieniu z gliny zwierzątek – krówek, koni, kur. Potem opiekowałyśmy się razem naszym braciszkiem – Mykołą. Moja mama, Olena, od razu wiedziała, że Olha zostanie szwaczką, a ja spędzę życie ze zwierzętami.

A.P.: Tak się rzeczywiście stało?

– Tak, skończyłam trzy klasy podstawówki, w czwartej klasie uparłam się, że już dalej nie chcę się uczyć. Chciałam pracować, wypasać krowy, uczyć się gospodarzenia. Rodzice się zgodzili, więc nastoletnie lata spędziłam, będąc szczęśliwą osobą – mogłam robić to, co kocham najbardziej: być blisko zwierząt. Osiemdziesiąt krów sama jedna pasłam.

W.S.: Do szkoły już pani nie wróciła.

– Nie. I teraz tak sobie myślę, że być może aż tak mnie od tej szkoły odrzucało, bo ona była zabrana Polakom?

A.P.: Zabrana?

– Tak, ten budynek to polski dom ze spalonych Ostrówek Wołyńskich, odległych dwa kilometry od Sokola, przeniesiony przez ludzi z mojej wioski belka po belce. Piękny, z modrzewiowego drewna. Chodziłam do tej szkoły przez jeden dzień i więcej nie chciałam. Wcześniej skończyłam trzy klasy w Mikołajowie, dokąd musieliśmy wyjechać na kilka lat. Tam byłam prymuską. Nauczycielka wysyłała mnie po cukierki, uwielbiałam moje szkolne koleżanki. Było mi smut-

no, gdy tata zdecydował, że czas wracać do Sokola. Nowa szkoła była okropna, czułam, że w jej wnętrzu wydarzyło się coś strasznego. Potem dowiedziałam się, że zamordowano mieszkających w niej Polaków.

A.P.: Zaczęła się więc pani zajmować gospodarstwem.

– Pomagałam w domu, potem jako czternastolatka zaczęłam pracować w kolchozie jako dojarka.

W.S.: To musiało być ciężkie...

– Nieee, w ogóle nie było ciężkie. Mogłam sobie z taką krowką pogadać, wyszczotkować jej sierść, pogłaskać po grzbiecie. Teraz mam tylko jedną krowę. Poza Rabulką, bo tak się zowie, mam jeszcze osiem kotów, pięć psów i kury. Ludzie ze wsi podrzucają mi znalezione zwierzęta, chore, stare albo takie, których ktoś chce się pozbyć.

A.P.: Przygarnia pani wszystkie?

– Tak. W domu uczeni byliśmy, że trzeba kochać zwierzęta. Po przebudzeniu najpierw trzeba było dać jeść kurom, krowom, psom, kotom, dopiero potem jeść samemu, umyć się i pomodlić. Miłość do zwierząt uczy też miłości do ludzi. Mogą też być pomostem między światem zmarłych a nami.

W.S.: To znaczy?

– Któregoś dnia, gdy przyszedłam z cerkwi do domu, nagle poczułam ogromną potrzebę, żeby pójść na Ostrówkę, by pomodlić się za Polaków. Tak jakby coś kazało mi tam iść. Poszłam, pomodliłam się, chwilę posiedziałam na trawie. Nagle zobaczyłam dwa białe ptaki lecące od wsi Przekurka. Były ogromne, nigdy wcześniej nie widziałam takich ptaków. Leciały nisko, powoli.

Patrzyłam, jak przelatują nad gruszami i śliwami, ponad dawnym polskim sadem, nad mogiłami. Po nich nadleciały kolejne dwa. I kolejne. I jeszcze. Naliczyłam ich aż dwadzieścia – wszystkie leciały w parach.

Zacząłam głośno płakać, nie mogłam się uspokoić. Wierzę, że były to dusze tych, którzy zostali tam zamordowani. Dusze tych, na których groby tak często chodziłam. Ale dlaczego leciały tak nisko? Może żegnały się z ziemią?

A.P.: Wierzy pani w wędrujące dusze?

– Wierzę, że dusze naszych bliskich są zawsze blisko nas. Któregoś dnia przysniła mi się moja zmarła córka. We śnie prosiła mnie, że bardzo chce jej się jagód. Obudziłam się, zabrałam garnuszek z jagodami, pobiegłam na jej grób. Pomodliłam się. Potem już więcej nigdy mi się nie śniła.

W.S.: Lubi pani przyjeżdżać do Polski?

– Oj, tak. Ojciec zawsze dobrze mówił o Polakach. Opowiadał, jak jeszcze przed wojną Ukraińcy z Polakami chodzili razem na tańce, śpiewali razem swoje pieśni, znali swoje języki. Całe życie modliłam się za przyjaźń polsko-ukraińską. Ostatni raz byłam w Polsce cztery lata temu. Tęskniłam. Polacy są zawsze życzliwi, czuję się mile widziana. Ostatnim razem, gdy byłam w Warszawie, dostałam medal – Virtus et Fraternitas z rąk prezydenta Andrzeja Dudy.

A.P.: To medal dla osób zasłużonych w ratowaniu Polaków – ofiar zbrodni z pobudek nacjonalistycznych – oraz pielęgnujących pamięć o nich. Była pani pierwszą osobą, która dostała takie odznaczenie.

– Mój ojciec, Kałennyk Łukaszuk, w 1943 roku ryzykował życie – swoje i całej naszej rodziny. Przede wszystkim – gdy chcieli go zrekrutować do oddziałów UPA – wymówił się tym, że nie miał jednego oka. Z tego też powodu nie wzięli go wcześniej do wojska. Ukraińcy ze wsi dobrze wiedzieli, co planują banderowcy. Szykowali się przeciw do ataku na sąsiednie polskie wsie – Ostrówki i Wołę Ostrowiecką – przez kilkanaście dni. Część sąsiadów się do nich przyłączyła – niektórzy z chęcią, niektórzy pod przymusem. Ojciec, gdy tylko dowiedział się o planach ataku, zaczął ostrzegać Polaków, opowiadał im o planach banderowców. Gdy skończyła się rzeź we wsi, a banderowcy dalej byli w okolicy i czyhali w lesie na uciekających Polaków, tata znalazł kilka miejsc, w których ukryli się Polacy. Przynosił im jedzenie, picie, koce. Część z tych ludzi przeżyła, inni zostali zastrzeleni. Tata sam ich pochował. To były mogiły, o których wiedzieliśmy tylko my – najbliższa rodzina.

W.S.: Nikt inny Polakom nie pomagał?

– Nasza wioska, Sokół, jest mała. Ludzie bardzo dobrze się znali. Ci, co się do UPA nie dołączyli, woleli milczeć. Zresztą tata widział, jak sąsiedzi zwożą do siebie garnki, pościelę, złoto, meble... Bogacili się na cudzym nieszczęściu. Mój tata tym gardził. Ale nie przyznawał się nikomu, że pomagał Polakom.

A.P.: Część wsi Sokół została potem przez Armię Krajową spalona w odwecie za udział mieszkańców w rzezi w Ostrówkach.

– Tak ludzie mówili, że później przyjechali Polacy i spalili trochę naszych domów. Wołyń to krwawa ziemia.

W.S.: A po wojnie?

– Ludzie gadali, że ojciec – zdrajca. Że za Polakami latał. Bo jednak wiedzieli, że pomagał. To był dla ojca bardzo trudny czas.

A.P.: Co pani pamięta z tamtego okresu?

– Pamiętam, że po wojnie musieliśmy się przenieść z Sokola aż do Mikołajowa, to duże miasto położone nad Morzem Czarnym. Tam tata dostał pracę w kolchozie – był wozakiem, woził melony i arbuzy.

A.P.: Dlaczego musieliście się przenieść?

– Ludzie ze wsi byli bezkarni – wyzywali tatę, pokazywali nas palcami. Wróciliśmy do wsi dopiero, gdy NKWD aresztowało banderowców. Pamiętam, że po powrocie chodziłam do Ostrówek Wołyńskich – płakałam, widząc zniszczone domy, spalone gospodarstwa. Byłam małą dziewczynką, nie rozumiałam zbyt wiele, więc czasem przynosiłam do domu znalezione na zgłiszczach broszki, pierścienie, krzyżyki. Gdy zobaczyła to moja mama, kazała mi natychmiast odnieść je tam, gdzie je znalazłam.

A.P.: Co się działo potem na terenie polskich wsi?

– Zaczęto tam uprawiać kukurydzę, sadzić ziemniaki. Wielkie rosły, dorodne. Nie chciałam ich kupować. Mówiłam tym, którzy je uprawiają: „Przecież tam krew wsiąka w ziemię. Czemu to robisz?”. A zniszczona wieś Ostrówki została zagarnięta na kolchozowe pastwiska. Od tych krów też mleka nie wypiję. To jakby mleko pić prosto z Trupiego Pola.

W.S.: Co wydarzyło się na Trupim Polu?

– To tam jest dół, na polu koło wsi Sokół, do którego wrzucono zamordowane kobiety i dzieci z Ostrówek. 231 osób. To miejsce ludzie znali, ale o mogiłach z trzema krzyżykami wrytymi na sośnie bardzo długo wiedziałam tylko ja.

W.S.: W jaki sposób udało się odkryć to miejsce?

– Pokazał mi je mój tata. W sośnie nad mogiłą wrył trzy krzyżyki, żebym zapamiętała, gdzie dokładnie znajdują się zamordowani Polacy. Już w dzieciństwie przychodziłam w to miejsce – modliłam się, całowałam wryte przez ojca krzyże. Na początku nie dosięgałam do tego, który znajdował się najwyżej. Teraz muszę się do nich schylać. Tata był prostym człowiekiem, ale czuł w głębi duszy, że przyjadą tu kiedyś Polacy, by szukać swoich. Tuż przed śmiercią zawołał mnie i powiedział: „Szura, pamiętaj, by chodzić na mogiły i pokazać ludziom, którzy będą szukać swoich zmarłych, gdzie oni są”. Słowa dotrzymałam. Moi rodzice już nie żyli, gdy w Sokole w latach 90. pojawiło się kilku elegancko ubranych panów, którzy okazali się Polakami. Jeden z nich nazywał się Leon Popek, jego matka uratowała się z Ostrówek. Szukał miejsc, w których znajdują się ciała ludzi zamordowanych w trakcie drugiej wojny światowej. Chciał zabrać kości i pochować ich po chrześcijańsku.

A.P.: Pokazała im pani trzy krzyżyki na sośnie?

– Tak. Pokazałam mogiły pod sosnami i Trupie Pole. Z panem Leonem przyjechali archeolodzy, którzy zaczęli rozkopywać Trupie Pole. Wykopali szkielety kobiet, dzieci. Jedna kobieta nie miała głowy – prawdopodobnie ktoś szukał w tej głowie złotych zębów.

A.P.: Musiał to być przerażający widok.

– Gdy patrzyłam, jak Leon wykopywał kości polskich dzieci i kobiet, serce prawie mi pękło. Przez wiele nocy nie mogłam zasnąć. Siedziałam i zastanawiałam się, jak to możliwe, że Bóg pozwolił na taki mord, takie okrucieństwo. Brałam potem kosz jabłek i dawałam je pracującym na Trupim Polu ludziom. Czasem piekłam dla nich pierogi albo dawałam im świeże mleko.

A.P.: Czy to zachwiało pani relację z Bogiem?

– To był trudny test, ale zawsze ufam Bogu. Mój mąż umarł młodo, w wieku 31 lat. Poraził go prąd w pracy – potknął się i upadł na transformator. Zostawił mnie samą z czwórką dzieci – trzema córkami, jednym synem. To nie był koniec tragedii. Jedna z córek – Switłana – w wieku 16 lat miała atak padaczki, upadła w kolchozie, uderzyła się w głowę i umarła. Powiedziałam do Boga w modlitwie: „Skoro zabrałeś ją, to zabierz i mnie. Bez niej nie chcę żyć”. Ale wie pani, co się stało? Tydzień później, idąc poboczem, zostałam potrącona przez samochód. Uderzył mnie mocno w głowę. W szpitalu odzyskałam świadomość. Uderzył, ale nie zabił. Pomyślałam: „To znaczy, że Bóg miał wobec mnie jeszcze jakiś plan”.

*W niejednej chatupie ciągle
są łyczeczki, dywany
albo meble
po zamordowanych
Polakach*



Książka Witolda Szabłowskiego „Opowieści z Wołynia” ukazała się w wydawnictwie Notatnik Reportera

A.P.: Jaki?

– Przede wszystkim – zdałam sobie sprawę z tego, że życie to największy dar. I że nie należy nigdy modlić się o własną śmierć. Każdy z nas ma do wypełnienia na świecie jakąś misję – mniejszą lub większą. Moją misją jest dbanie o to, by dusze Polaków zamordowanych na Trupim Polu mogły mieć spokój. By ktoś się o nie troszczył, ktoś z nimi rozmawiał. Dla zmarłych jest pociechą, że pamiętamy o nich.

W.S.: W jaki sposób dba pani o to miejsce?

– Przede wszystkim – co kilka dni od wielu, wielu lat przychodzę na Trupie Pole się modlić. Nie lubię modlić się za pomocą formułek. Robię to własnymi słowami – po polsku i po ukraińsku, żeby każda dusza mnie zrozumiała. Proszę Boga o wieczny spokój, o to, by rodziny zmarłych w tym miejscu osób były szczęśliwe, by ich serca wypełniała miłość. Bo co roku przychodzi tu pielgrzymka Polaków, którzy chcą upamiętnić swoich rodaków. Jestem jedyną Ukrainką, która przychodzi wtedy pomodlić się razem z nimi. Zawieszam na drzewach rucznik – tradycyjną ukraińską chustę. Dbam o to, by zawsze była uprana, czysta. Gdy tylko porwie ją wiatr lub zerwą chuligani – dziergam nową i idę powiesić ją w tym samym miejscu. Przynoszę na grób chleb i cukierki.

A.P.: Cukierki?

– To tradycja – w Ukrainie świętuje się Prowody – prawosławne Zaduszki. Wtedy zawsze na grób zanoszą się jedzenie, cukierki. Rodziny jedzą i piją w ciszy, oddając szacunek zmarłym. Ja cukierki przynosiłam na groby od najmłodszych lat – wierzyłam, że to pokarm dla zbłąkanych w lesie dusz.

W.S.: Pani ojciec nie spotkał się ze zrozumieniem, gdy pomagał Polakom. A pani? Jak reagują mieszkańcy Sokola?

– Jedna kobieta powiedziała do mnie wprost: „Nie jesteś Ukrainką. Jeśli tak bardzo się troszczysz o Polaków, to powinnaś wyjechać do swojej Polski”. Odpowiedziałam jej: „Kiedyś żyliśmy w zgodzie i było nam dużo lepiej”. Niektórzy próbują mi robić na złość. Pewnego dnia znalazłam w moim ogródku zdechłą rybę w siatce zawieszanej na drzewie. Czy ktoś chciał na mnie rzucić zły urok? Nie wiem. Czasami zdzierają też rucznik, który zawieszam na drzewie. Ktoś nawet próbował przewrócić stojący tam krzyż. Ale nie dam się zniechęcić. Za każdym razem, gdy chusta zostanie zniszczona, mam już nową.

A.P.: A życzliwi ludzie? Naprawdę ich nie ma?

– Prędzej się dogadam z moimi zwierzętami niż z ludźmi z wioski. Czuję się tu samotna.

A.P.: Czy teraz stosunek do Polaków nieco się zmienił?

– Dużo ludzi ma rodziny w Polsce. To nie chodzi o uprzedzenia wobec Polaków, tylko o to, że ciągle nie możemy się uporać z własną historią. O tym, co się wydarzyło na Wołyniu, po prostu się nie mówi. Gdyby ktoś teraz, dzisiaj, wszedł do którejś z chałup w Sokole, prędko zobaczyłby łyczeczki, dywany albo meble – nie ukraińskie. Polskie, po zamordowanych na Wołyniu Polakach. Jeszcze kilka lat temu w okolicznych wsiach bano się, że Polacy będą chcieli te ziemie odzyskiwać. Teraz, w obliczu naszej strasznej wojny, każdy chciałby wyjechać do Polski, pracować tam, ułożyć sobie życie. Ale o tym, co niektórzy z Ukraińców robili 80 lat temu – nikt nie chce pamiętać.

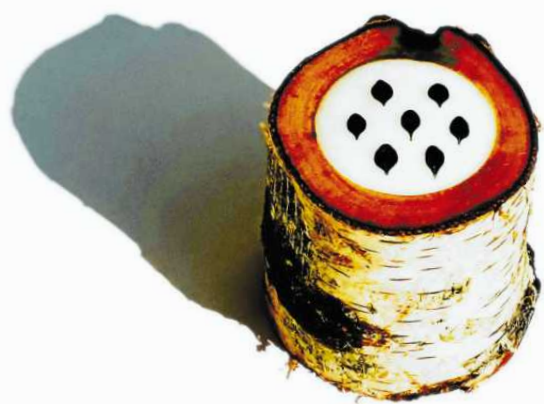
A.P.: Podobno w niektórych miejscowościach Ukrainy ludzie zaczęli w podziękowaniu za pomoc sprzątać polskie cmentarze.

– Tak, słyszałam, że zaczęli o nie dbać, zapalać świeczki, przynosić kwiaty. Ale o te tutaj mogiły nikt inny nie dba. Chciałabym, żeby ktoś na nie ze mną poszedł. Jestem już stara, nie wiem, ile pożyję – kto wtedy zajmie się tymi duszami?

A.P.: Czy teraz modli się pani za pokój w Ukrainie?

– Modlę się za mojego drugiego wnuczka, który jest na wojnie. Tak jak kiedyś modliłam się o wieczny spokój dusz Polaków zamordowanych przez banderowców, tak teraz modlę się o pokój w moim kraju. Płacę i proszę Boga: „Ocal, Panie Boże, całą Ukrainę i całą Polskę, ocal Polaków i Ukraińców, ocal miasto Lwów, miasto Łuck, miasto Luboml, całą Ukrainę. Zmiluj się nad nami”.

Dwie gwiazdki Michelin



Szczaw Z DŻINEM

W Polsce jest jeszcze wiele do zrobienia.
Marchewki musieliśmy do Krakowa sprowadzać z Hamburga, a zielone truskawki z Pomorza

Z PRZEMYSŁAWEM KLIMA, SZEFEM KUCHNI KRAKOWSKIEJ RESTAURACJI BOTTIGLIERIA 1881, JEDYNEJ W POLSCE WYRÓŻNIONEJ DWIEMA GWIAZDKAMI MICHELINA, ROZMAWIA MARCIN WÓJCIK

Polska kuchnia kojarzy ci się z...

– Z agrestem, porzeczką, szczawiem... Widzę, jak goście reagują, kiedy dostają porzeczki na talerzu – uśmiechają się, przypominają im się dzieciństwo. Desery także podajemy polskie: ryż na mleku, szczaw z dżinem.

Szczaw z dżinem?! To nie jest polskie danie.

– Ale dżin jest polski, bo robiony z jałowca. Szczaw także typowo polski. Robię z niego sorbet.

Sam wymyślasz dania?

– To praca zespołowa.

Jak to wygląda?

– Mielimy, doprawiamy, łączymy, próbujemy, zazwyczaj się nie udaje i wracamy znowu do poszukiwań smaku i konsystencji. Bywa, że nad przepisem pracujemy miesiąc. Najnowszym pomysłem jest chłodnik z pomidorów i czereśni. Najpierw miał to być chłodnik pomidorowy, ale był bez smaku, nijaki, taka woda z pomidorów. Mieliliśmy akurat w kuchni czereśnie, bo to sezon, i dodaliśmy je do tej pomidorowej wody. Zaskoczyło!

I ludzie wolą chłodnik z czereśni niż tradycyjny z buraków?

– Lubią poznawać nowe smaki, zwłaszcza kiedy bazuje się na polskich składnikach.

W 2020 roku dostaliście pierwszą gwiazdkę, teraz drugą. Jak to się robi?

– Nie myślimy o gwiazdkach. Gotujemy jak najlepiej, a gwiazdki są miłym zaskoczeniem.

Ktoś was zgłosił?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem też, kiedy przyszedł recenzent Michelin.

Jedna gwiazdka oznacza bardzo dobrą kuchnię, dwie – rewelacyjną, trzy – wyjątkową. Będziecie teraz walczyć o trzecią?

– Będziemy robić nadal jak najlepsze jedzenie. Oczywiście gwiazdki mnie motywują, ale nie jestem próżny.

Jak to się zaczęło?

– Restauracja czy gotowanie?

Gotowanie.

– Wolalem siedzieć z mamą w kuchni niż z tatą w warsztacie, ręce mieć ubrudzone mąką, a nie smarem. Najpierw podpatrywałem, jak mama gotuje, lepi – fascynowało mnie, że z różnych składników powstaje coś tak smacznego jak pierogi: z jagodami,

serem, mięsem. Już w podstawówce pomagałem przygotowywać imieniny i urodziny rodziców. Cztery razy w roku impreza w domu pod Krakowem na dwadzieścia osób. Na stole: barszczyk, krokiet, kurczak, pierogi, bigos, żurek, sałatka warzywna, sernik, makowiec, jablecznik – typowo polskie jedzenie. I tyle, że goście dostawali na wynos. W tygodniu nie musiało być drugiego dania, ale w niedzielę musiał być obiad dwudaniowy z kompotem i deserem.

Czym się zajmują twoi rodzice?

– Mama jest krawcową, tata był taksówkarzem, zmarł przed gwiazdkami. Po podstawówce sugerowali, abym nie szedł do liceum, tylko wybrał zawód, bo to pewniejsza przyszłość. Poszedłem do zawodówki, kierunek kucharz, miałem praktyki w studenckiej stołówce – wydawałem dziennie około 1,5 tys. obiadów. Później zrobiłem technikum gastronomiczne wieczorowe. Poszedłem też na studia z żywienia człowieka, ale to była pomyłka i po pół roku zrezygnowałem. Z kolegą przygotowaliśmy wesela na dwieście osób, chrzciny, komunie – szło nam dobrze. Byłem także kucharzem w knajpie niedaleko mojej rodzinnej wioski, 3,50 zł za godzinę przez sześć dni w tygodniu. Szukałem większej stabilizacji, najlepiej dużej kuchni. Tata wiozł taksówką szefa kuchni jednego z krakowskich hoteli. Napomknął, że szukają kucharzy. To była moja pierwsza praca z podziałem na sekcje, z kelnerami i kelnerkami. Pracowałem tam dwa lata. Później była krakowska Ancora – jeszcze większa dyscyplina i gotowanie pod presją. Aż zadzwonił kolega i powiedział, że jest praca w Warszawie. Spakowałem się i wyjechałem z Krakowa na dziesięć lat.

Gdzie gotowałeś w Warszawie?

– Najpierw w restauracji Tamka 43. Kuchni szefował Robert Trzópek, który wrócił ze słynnej Nomy w Kopenhadze – według wielu najlepszej restauracji na świecie. Jego kuchnia bazuje na sezonowych składnikach, minimalistyczna, z wykorzystaniem metody sous vide, czyli gotowania próżniowego w niskich temperaturach. Dużo pracy, do późnych godzin, nie miałem życia prywatnego. Odszedłem, bo chciałem poznać coś nowego.

I poznawałeś gdzie?

– W restauracjach Senses i Atelier Amaro. W obu byłem zastępcą szefa kuchni. Taki sous-chef jest prawą ręką i prawą nogą szefa, jest też kimś, kto obrywa za cały zespół. Znowu zapieprzałem. Jestem wysoki – ponad 190 cm – a schudłem do 70 kg. Postanowiłem zrobić przerwę na cztery miesiące.

Odszedłeś z Atelier Amaro? Jednej z najlepszych restauracji w Polsce? Nie dogadywałeś się z jej właścicielem Wojciechem Modestem Amaro?

– Nic z tych rzeczy, po prostu poczułem, że muszę zmienić miejsce, poznać coś nowego.

To między innymi Amaro zdecydował, że odpadłeś z programu Top Chef.

– Nawet już tego nie pamiętam. I dobrze, że odpadłem, miałem ciekawsze rzeczy do zrobienia, a program zabierał sporo czasu. A z Wojtkiem mam dobry kontakt, był nawet na kolacji w Botti.

I co robiłeś przez te cztery miesiące?

– Brałem tylko warsztaty w klubie kolacyjnym albo gotowanie u kogoś w domu, żeby mieć na rachunki.

Co to jest klub kolacyjny i gotowanie u kogoś?

– Możesz zaprosić na imprezę kucharza, który będzie gotował dla twoich gości. A klub kolacyjny w knajpie to połączenie nauki gotowania z jedzeniem.

W tym czasie wyjeżdżałem także na staże, na przykład do Nomy w Kopenhadze. Na dwa tygodnie, bo na więcej nie było mnie stać. Staż w Nomie był wprowadzanie za darmo, ale bilety i nocleg musiałem sam ogarnąć. Pracowałem od siódmej rano do pierwszej w nocy. Wracalem do hostelu, aby przespać się kilka godzin, i znowu robota.

Co się robi na takim stażu?

– Wszystko. Obieranie, krojenie, przecinanie, rozbiieranie. Byłem w samym środku tej kuchni, z dziesiątkami stażystów z całego świata, mogłem zobaczyć, jak pracuje słynny René Redzepi, nie ma lepszego miejsca do nauki. Cenne było nawet omawianie tego, co będziemy robić na kolację.

Podobno w takich miejscach można dostać po głowie ścierką, jak się coś zawali. A w Nomie źle traktowano pracowników.

– Ścierką nie dostałem. Na pewno trzeba mieć twardą skórę, to praca stresująca, na czas, zdarza się, że kucharz podnosi głos, ale nie nazwałbym tego mobbingiem. Jeśli chodzi o mnie, to na nikogo nie krzyczę, nie okładam ścierką. Każdy zna swoje miejsce w zespole i wie, co ma robić.

Nie chciałeś zostać na stałe w Kopenhadze?

– Chciałem, i wciąż mnie to kusi. Lubię duńską kuchnię, jak to się mówi, z mchu, renifera i owoców morza. Ale mocno siedzi we mnie przekonanie: „Lepiej być kimś u siebie niż nikim wszędzie”. Wróciłem i dziesięć lat temu mój przyjaciel Robert Gumuliński zaproponował mi współpracę przy projekcie Bottigliera 1881. Nazwa po włosku oznacza „skład butelek”. Wojciech Nowicki z krakowskiej „Wyborczej” napisał o nas recenzję i ruszyło, ludzie walili drzwiami i oknami.

Macie nawet kaszanke.

– Stawiamy na polskie smaki, składniki, sezonowość. Nie serwujemy owoców morza, nie używamy bananów, kiwi, mango, papai. Mamy dziczyznę, ryby, grzyby, warzywa, wołowinę, wieprzowinę. Jeśli jest sezon na kurki, to podajemy kurki, jeśli na groszek, to groszek, jeśli na dziczyznę, to w menu jest sarna i dzik. Na dziczyznę sezon jest niemal przez cały rok, tylko wczesna wiosna jest wyłączona z polowań. Ale kiedy indziej poluje się na zające, a kiedy indziej na kozły.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Jest trend do porzucania mięsa, a na stronie waszej restauracji czytam, że nie podajecie dań wege-
– Używamy masła i mleka, więc weganin tego nie zje. Ale nie jest tak, że mamy tylko mięso. Zresztą zawsze można do nas napisać i poprosić o danie warzywne.

Zwracacie uwagę na miejsce, skąd pochodzi mięso?

– Zwracamy uwagę na produkt, czyli z dostarczonej mi skrzynki polędwic wybieram dziesięć najlepszych. Takich, które nie mają błon, przerostów tłuszczu.

Nie ma znaczenia, czy świnię miały puszczaną muzykę przed ubojem, żeby się mniej stresowały?

– Dla mnie to farmazon. A co do kuchni polskiej, to sami robimy weki, przetwory z białej porzeczki, truskawek i agrestu, by wyciągnąć je ze spiżarni zimą. Sami je zbieramy u rolników lub ktoś nam to ogarnia. Zbieraliśmy dziką różę i kwiaty chabrów – taka wyprawa integracyjna zespołu.

A oprócz tych waszych przetworów i dziczyzny, to skąd bierzesz produkty?

– Mam zaufanych dostawców – jeden z nich sam był kiedyś szefem kuchni, więc wie, czego potrzeba. Choć rynek polski ma jeszcze braki. Przykład? Okazało się, że nie do zdobycia są zielone truskawki. Poszedłem na bazar i zapytałem handlującą kobietę, czy może mi ogarnąć 50 kg. Nie może, bo nie wie gdzie. Sprowadziłem je aż z Pomorza. Albo historia z marchewkami. Chciałem dostawać codziennie trzydzieści małych marchewek, o określonym kształcie i wielkości. Nikt się nie podjął tego zadania, bo nie ma takich marchewek, a jeśli są, to nikt nie zagwarantuje ciągłości dostaw. Zamówiłem marchewki na targu w Hamburgu.

I codziennie dostawałeś marchewki z Hamburga? Specjalnie do was leciała ta przesyłka? A co ze śladem węglowym pozostawionym przez samolot?

– Zmieniłem danie na lokalne i nie było już problemu z marchewką i śladem węglowym.

Masz kontakt z kolegami i koleżankami ze szkoły zawodowej i technikum? Pracują w zawodzie?

– Nie wiem, co robią. Ale nie jest łatwo utrzymać się w gastronomii. Praca ciężka, płaca kiepska, potrzeba dużej determinacji, żeby tego nie rzucić.

Ale przecież zmienił się społeczny status kucharza. Typowy scenariusz hollywoodzkiego filmu: Amerykanka przyjeżdża do Włoch lub Francji i zakochuje się w zdolnym kucharzu.

– Wynieśliśmy kuchnię do rodzaju sztuki, więc i pozycja tego, który tworzy tę kuchnię, musiała się zmienić. Rozwarstwienie w tym fachu może być duże – inaczej zarabia kucharz w barze mlecznym w gminnej miejscowości, inaczej w znanej kuchni w centrum wielkiego miasta.

Twoja kuchnia nie jest raczej dla przeciętnego Polaka.

– Dlaczego?

590 zł za kolację dla jednej osoby to drogo.

– Drogo to jest w fast foodach. Zwracamy uwagę, aby składniki dań były najwyższej jakości. Tworzymy kuchnię, której degustacja to nowe doznania, nowe przyjemności, do tego serwowane przez sommeliera wina, wybrane pod konkretne danie. I nie będę płacił mojej żalodze minimalnej krajowej. Przychodzą na 8.30. Przez cały dzień przygotowujemy kolację dla trzydziestu pięciu gości. Gotujemy na ich oczach, jesteśmy z nimi, rozmawiamy, opowiadamy o daniach, podajemy. Wiem, ile kosztuje praca mojego zespołu i dostawców. Nie brakuje ludzi, którzy potrafią to docenić. Do końca września nie mamy wolnego stolika. Ale mogę też zdradzić, że myślę o drugiej restauracji w Krakowie – będzie przystępniejsza cenowo, a smak i poziom nie gorszy niż w Botti.

Widzę, że macie tylko dwa palniki.

– To nam wystarcza. Każdy zna swoje zadania, wszystko jest zaplanowane, nie musimy mieć dziesięciu palników, żeby to ogarnąć.

Ile osób z tobą pracuje?

– Jedenaście. Najdłużej jest ze mną kucharz Paweł Kras. Wiele mu zawdzięczam.

Gotuje z wami kobieta?

– Nie.

Dlaczego?

– Zadna z nami nie wytrzymała. A tak serio: były dwie na stażu. Nie chciały zostać. To ciężka fizyczna praca, od rana do wieczora, pięć dni w tygodniu. Na świecie w kuchniach pracują przede wszystkim mężczyźni. Nie chodzi o to, że lepiej gotują, bo kobiety również świetnie to robią i mają smak. Chodzi o predyspozycje fizyczne.

Twoja mama często do ciebie przychodzi? Co jej najbardziej smakuje?

– Raz na kilka miesięcy, przecież mówiłem, że trudno u nas o stolik. Mama niczego nie krytykowała, wszystko jej smakuje. Ja też nie krytykuję, kiedy jadę do niej na obiad. Czasami tylko mówię, czego mogłaby mniej lub więcej dodać.

A goście?

– Zdarzają się goście GM. To skrót od „głupio-mądry”, czyli ktoś, kto nie ma pojęcia o kuchni, a krytykuje wszystko jak leci. Nie upieramy się, że wszyscy muszą nas lubić, tego nie da się zrobić, zawsze coś komuś nie pójdzie.

A ile macie dań w karcie?

– Szesnaście.

I kto do was przychodzi?

– Wiekowo wygląda to tak, że chyba najwięcej jest trzydziestolatków. Jedni przychodzą co tydzień, drudzy raz na pół roku. Jedni chcą tylko dobrze zjeść i wychodzą, inni chcą dobrze zjeść i porozmawiać z przyjaciółmi. Przyjeżdżają z różnych stron świata, rezerwują z wyprzedzeniem. Sam tak robię, kiedy gdzieś lecę. A lecę głównie po to, by skosztować kuchni. Inne atrakcje – jak zwiedzanie – są dodatkiem.

Gdzie na przykład poleciałeś, żeby coś zjeść?

– Do Nowego Jorku i Paryża. Przywiozłem przekonanie, że nie trzeba wykrochmalonych obrusów, aby stworzyć dobrą kuchnię. W Paryżu w niewielkich knajpkach bez wykrochmalonych obrusów gotują najsłynniejsi kucharze.

A Polacy gotują w domu?

– Trudno mi powiedzieć, bo jestem w bańce ludzi gotujących. U nas nie ma imprez bez gotowania. Wołę stać w kuchni przy garach niż z kieliszkiem wina gdzieś na balkonie.

Teraz prywatne pytanie. Jak usmażyć schabowego, żeby się nie zwił na patelni?

– Nie wiem, nie smażyę schabowego. Może za mocno rozbijasz mięso. Albo za wysoka temperatura.

Ty gotujesz w domu?

– Tak, w weekendy, kiedy restauracja jest zamknięta. Proste dania. Wczoraj piekłem jagodzianki z kruszonką, 45 zł za litr jagód – to à propos cen składników. A w tygodniu na śniadanie jem owsiankę, kielbaski z kajzerką. Później trening na siłowni lub kilka kilometrów rowerem i lecę do restauracji, bo co wieczór muszę oczarować smakiem trzydzieści pięć osób. ●

*590 zł za kolację,
ale do końca
września
wszystkie stoliki
zarezerwowane*

Zetki idą do pracy

Teraz to pracodawca powinien uważać, czy nie pali mostów. Nawet jeśli kandydat zostanie odrzucony, z rozmowy o pracę powinien zachować jak najlepsze wspomnienia. Inaczej może firmę obsmarować w internecie

CZY SĄ W BIURZE piłkarzy

PPo maturze i po obronie dyplomów świeżo upieczeni absolwenci zaczynają szukać pierwszej pracy. Niektórzy zadowolą się płacą minimalną, ale są miejsca, gdzie to oni dyktują warunki. I wprawiają w zdumienie rekruterów.

REKRUTERKA: A JA SIEDZIAŁAM ZAWSZE CICHU

Olga: – Wchodzą na rozmowę, siadają i niemal natychmiast mówią: „Może przejdźmy od razu do konkretów, interesują mnie zarobki”. I tu padają sumy od 15 tysięcy złotych na rękę w górę. To nie bierze się tak zupełnie z niczego, bo korporacja, w której zajmuję się rekrutacją, potrzebuje pracowników z wykształceniem medycznym. To są już na wstępie wykwalifikowani kandydaci, często po medycynie albo biotechnologii. Rodzice na nich nie oszczędzali, więc poza studiami mają często pokonane liczne kursy i szkolenia. Jednak rzadko mają doświadczenie – a to jest przecież ważne. A mimo to codziennie spotykam 25-latków, którzy na wstępie rzucają: chcę 25 tysięcy netto. Ja wtedy mówię: „Chwileczkę, to niemożliwe. W poprzedniej firmie przepracował pan jedynie rok. Ma pan za mało doświadczenia”. Wtedy rozmowa najczęściej się kończy. Kandydat wstaje i rzuca na odchodne: „Jestem przekonany, że gdzieś dostanę tyle, ile chcę”.

Olga, rocznik 1987, pracuje w Warszawie, w dziale HR zagranicznej firmy farmaceutycznej.

Niedawno prowadziła szkolenie dla innych rekruterów ze swojej branży. Tłumaczyła im: teraz w korporacjach jest tak, że obie strony rekrutują. Wy i kandydaci. Oni też wymagają i zadają dużo pytań. Nie tylko o pieniądze, ale też o to, w jaki sposób firma zamierza wytyczać im ścieżkę kariery. O rozwój, możliwości awansu. O nadgodziny – czy to w firmie norma, a jeśli tak, to czy są płatne 120 procent, czy więcej. Więc firmę trzeba młodym sprzedawać, np. proponując wysokie zarobki albo podkreślając, że szef zadba o ich rozwój. A jeśli kandydat oferty nie przyjmie lub zostanie odrzucony, to i tak powinien zachować z rozmowy o pracę jak najlepsze wspomnienia. Teraz to pracodawca powinien uważać na to, czy nie pali za sobą mostów. Bo „candidate experience” – czyli doświadczenia kandydatów związane z potencjalnymi pracodawcami – są badane, a człowiek, którego rekruter rozczarował podczas rozmowy, może potem obsmarować firmę w internecie.

Olga wspomina, że ponad 10 lat temu, w swojej pierwszej pracy w branży HR, zarabiała 2 tysiące złotych. Cieszyła się, że została zatrudniona. Nie miała żadnych pytań, wymagań ani żali. Potem w pracy prezesowi parzyła kawę, a gdy było trzeba, zostawała po godzinach. W zderzeniu z pokoleniem Z, które aktualnie rekrutuje, przeżywa coś w rodzaju szoku kulturowego. Co najbardziej wkurza ją w absolwentach szkół wyższych?

Olga: – Ich przekonanie o własnej wspaniałości. Wynikające chyba po prostu z faktu, że istnieją i mają dobre wykształcenie. To widać w oczekiwaniach



finansowych. Oni są skoncentrowani na tym, żeby im było dobrze. Zapowiadają: „We wtorki muszę kończyć o 15.00, bo ćwiczę pole dance”.

Prawie wszyscy chcą pracować z domu. Dla nas to nie jest problem, ale na początku wymagamy, aby przez miesiąc nowy pracownik wdrażał się w biurze. Część osób nie chce w ogóle o tym słyszeć. Jeden kandydat zapytał mnie, czy wypłacamy pensję w bitcoinach. Zamurowało mnie. Inny spytał, czy mógłby mieć miejsce na drzemkę w biurze, bo gdy się nie prześpi w ciągu dnia, to źle funkcjonuje. Kolejny: czy można jeździć hulajnogą w siedzibie firmy? Kiedy zapytałam, w jakim celu, usłyszałam, że to relaksujące. Ale najlepszy był chłopak, który spytał, czy są w biurze piłkarzyki. Uśmiechnęłam się, mówiąc, że niestety nie. A on, gdy to usłyszał, wstał i rzucił na odchodne, że takiej pracy to on nie chce.

– Ale poza skrajnymi przypadkami przychodzą do mnie na rozmowy ogarnięci, mili, bardzo ambitni ludzie – dodaje Olga. – Lubię ich styl komunikacji, szczerłość, transparentność. Gdy prowadziłam rozmowę z dziewczyną w spektrum autyzmu, wyjaśniła mi, że potrzebuje pracy z domu, bo przeszkadza jej hałas. Tacy jak ona stawiają firmie wyzwania, nie akceptują wszystkiego jak leci i przez to zmuszają menedżerów do myślenia.

– Dobrze jest znać swoją wartość – podsumowuje Olga. – Mnie nie przyszłoby nawet do głowy, żeby od pracodawcy czegośkolwiek wymagać. Zawsze siedziałam cicho i efekt jest taki, że zawodowo utknęłam. W moim dziale możliwości awansu nie ma. O podwyżce na razie nie ma mowy. Zarabiam 10 tysięcy, co jest może w Polsce niezłą pensją, ale jak na zagraniczne korpo w Warszawie – raczej taką sobie. Dzień wypełniają niekończące się zebrania. Ale nikt nie ma odwagi powiedzieć: „Ej, to nie ma sensu, można lepiej wykorzystać ten czas”. Dostaję czasem od szefowej absurdalne zadania. Ona w końcu musi „nastukać” targety, czyli cele, a do tego pokazać, że

jej ludzie ciężko pracują. Dlatego nieraz siedziałam po godzinach i robiłam prezentację, która miała być „na już”. A ostatecznie okazała się niepotrzebna. Kandydatów do firmy dostarczam, jakby to były urzędnicy, a nie ludzie. Dawaj ich, dawaj, naganiają mnie szefowie, gdzie oni są? Dawaj więcej... Bo, jak to w korporacji, jest duża rotacja, a do tego presja, żeby szukać najlepszych. I ja to robię, w pocie czoła, a potem taki wybrany kandydat dzwoni dzień przed rozpoczęciem pracy i obwieszcza, że jednak rezygnuje.

To moja szósta korporacja w ciągu 10 lat i wszędzie w działach HR jest to samo. Pracę zmieniałam często, bo to był jedyny sposób, żeby zarabiać lepsze pieniądze. Kandydaci rekrutowani z rynku zawsze dostają na starcie więcej niż „starzy” pracownicy.

Od października Olga zaczyna szkołę psychoterapii. – Będę się w niej uczyć przez kolejne cztery lata. W wieku 39 lat zacznę życie zawodowe na nowo.

KARTA LUNCHOWA PO PROSTU SIĘ NALEŻY

Maria ma 32 lata i prowadzi rozmowy kwalifikacyjne w dużej zagranicznej firmie IT. Rekrutuje głównie programistów i analityków biznesowych.

– Zazdroszczę zetkom odwagi, pewności siebie. Ja, kiedy szukałam pierwszej pracy, szłam na rozmowy pełna lęku – że powiem coś złe albo że się nie spodobam. Przejmowałam się porażkami. Oni tacy nie są.

Na przykład kandydat przyszedł z CV, gdzie na samej górze wytłuszczonym drukiem było napisane: „aplikuję na stanowisko menedżerskie”. Miał 21 lat, nadal studiował. Myślałam, że po prostu nie miał pojęcia, z czym się wiąże zarządzanie ludźmi.

Inny młodziutki kandydat trzy dni po rozmowie dostał automatycznego maila z prośbą o tzw. feed-

ANNA
KIEDRZYNEK



FOT. GETTY IMAGES



back, czyli wrażenia ze spotkania z rekruterem. Dał mi jedną gwiazdkę na pięć. Dlaczego? Był wściekły, że w ciągu trzech dni nie dostał od nas informacji zwrotnej. Ja na jego miejscu pokornie bym czekała. Do głowy by mi nie przyszło, żeby się o to obrażać.

Zetki rozmawiają w kategoriach pieniężnych, inne ich nie interesują. Owocowe czwartki, karta lunchowa, karta Multisport? Dla nich to nie benefity, tylko oczywistość. Dla milenialsów niby też, ale są jednak takie oferty, które na moim pokoleniu jeszcze robią wrażenie – jak catering dietetyczny do domu albo darmowe śniadania w biurze. Dwudziestolatki wie pytają przytomnie: „A ile to wszystko kosztuje? Nie lepiej dać te pieniądze nam?”. To jest w sumie fajne podejście.

Kolejna rzecz, o którą pytają, to plan rozwoju i możliwości awansu. Dla nich jest oczywiste, że jeśli przestaną się rozwijać w jednym miejscu, pójdą do

innego. Chcieliby wiedzieć, jakie widzimy dla nich ścieżki kariery. Dużo też pytają o to, co właściwie będą robić. Ważne jest dla nich, żeby zajmować się czymś, co jest sexy. Co daje poczucie sensu. Akurat to możemy im zaoferować. Firma, w której pracuję, zajmuje się biotechnologią. Tworzymy produkty, które mogą zmienić medycynę, także z wykorzystaniem sztucznej inteligencji. A teraz wszyscy 20-latkowie w tej branży chcą się zajmować właśnie AI.

To są w większości bardzo zdolni ludzie, którzy z czasem nabiorą doświadczenia i będą świetni w tym, co robią. Ale na wejściu znacznie przeceniają swoje możliwości. To ich różni od milenialsów sprzed dekady. Gdy pytam o poziom zaawansowania w jednym z języków programowania, zaznaczają pięć kropek. A potem mają problem z wykonaniem zadań. To nie znaczy, że się nie nadają, my ich potem poduczmy. Ale oni chwilę wcześniej byli pewni, że

potrafią wszystko. Kierownik biura karier na uczelni, z którą współpracuje moja firma, powiedział mi ostatnio: „Oni wszyscy myślą, że są na genialnym poziomie, a niczego tak naprawdę nie potrafią. Tylko że nie da im się tego przetłumaczyć”.

TYLKO JEDEN PYTAŁ O ZJEŹDŻALNIĘ

Adrianna Kubik, lat 34, business director & board member, rekrutuje kandydatów do agencji digital marketingu. W branży digitalowej działa od 12 lat.

– Nie dziwią mnie zupełnie narzekania na zetki, ale nie dlatego, że są takie roszczeniowe i leniwe – tylko z powodu tego, kim są „narzekacze”, którzy tych młodych rekrutują. A są to często milenialsi i boomerzy, czyli te pokolenia, dla których posiadanie pracy – niezależnie od zarobków – było kluczowe. Przyświecały im proste cele: zahaczyć się gdzieś, bo praca jest bardzo ważna, bo muszą ją mieć, nawet kosztem akceptacji złych warunków.

Starsi często wpadają w pułapkę mierzenia młodych swoją miarą. I kiedy robią tak dzisiejsi 40-latkowie, to faktycznie w porównaniu z nimi zetki wydają się przesadnie wyluzowane. Tylko jak można porównywać podejście do pracy sprzed dekady do tego, co jest teraz? Rynek się zmienił na lepsze, bezrobocie spadło, za to wzrosły ceny – i to niekiedy drastycznie, jak choćby w przypadku cen mieszkań.

Jeśli młody kandydat zaczyna rozmowę od pytania o pieniądze, to nie dlatego, że jest cyniczny i kapryśny, tylko przemawia przez niego pragmatyzm. Ten pragmatyzm widać też w innych oczekiwaniach zetek, np. takich, aby nie marnować czasu w pracy. Jest coś do zrobienia? To zróbmy to szybko i sprawnie, zamiast na przykład wysiadywać na zbyt długich zebraniach. Jeśli wykorzystamy efektywnie te osiem godzin przeznaczonych na pracę np. kreatywną, to nie trzeba będzie potem kończyć projektów wieczorami. Podoba mi się takie podejście. Uważam, że jest bardzo praktyczne. I wcale nie świadczy o lenistwie.

Na kilkudziesięciu kandydatów z pokolenia Z, z którymi miałam ostatnio styczność, może jeden zaskoczył mnie dziwnym żądaniem – bo spytał, czy jest zjeżdżalnia w biurze. Tylko że ja to bardziej widzę jako cechę charakteru tego konkretnego człowieka, a nie coś, co świadczy o całym pokoleniu. Większość nie odbiega niczym od milenialsów. A bywają często sprawniejsi od 30-latków w montowaniu wideo czy wymyślaniu treści do mediów społecznościowych. A do tego chcą pracować w sposób etyczny i zwracają dużą uwagę na to, czy firma nie wykorzystuje ważnych dla nich wartości jako zasłony dymnej. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej potrafią zapytać, czy realizujemy zlecenia od firm, które działają nieetycznie, bo na przykład chcą reklamować alkohol.

Niedawno byłam na spotkaniu ze studentami jednej z warszawskich prywatnych uczelni i tam ktoś spytał mnie, jak ludzie w branży reklamowej radzą sobie z tym, że napędzają konsumpcjonizm. Byłam zaskoczona, że coś takiego w ogóle przyszło im do głowy. Jeśli ktoś zajmuje się marketingiem, rozumie, że celem jest generowanie sprzedaży. Zysk jest celem każdego przedsiębiorstwa, a jeśli kogoś to odrzuca, bo ma inną filozofię – może trzeba pokierować swoje życie zupełnie w inną stronę niż biznes. Tylko czy można od tych uwikłań uciec? Wywiadała się między nami ciekawa dyskusja o świadomej konsumpcji i roli marek w tym obszarze.

Pytania o etykę pojawiają się coraz częściej także na rozmowach kwalifikacyjnych. Kandydat potrafi spytać wprost, czy selekcjonujemy klientów pod kątem kwestii etycznych, w tym stosunku do ekologii. Ja mówię wtedy, że tak, i widzę, że to jest dla nich ważne, bo oczekują, że praca będzie w zgodzie z tym, w co wierzą. To już nie jest pokolenie, które dla każdej firmy za wszelką cenę zrobi wszystko, żeby tylko się piąć i zarabiać pieniądze. Owszem, zarabiać chcą. Oczekują też stabilności i umów o pracę, boją się utraty zatrudnienia i braku środków do życia – wiem to z badań, które przeprowadzaliśmy razem z Uniwersytetem SWPS wśród przedstawicieli pokolenia Z. Większość z nich już się zderzyła ze światem i dlatego są świadomi, że trzeba jakoś dotrwać do pierwszego. Nie są oderwani od rzeczywistości. Ale jednocześnie nie chcą poświęcać wartości, które są dla nich istotne.

Według naszych badań dla zetek ważne są dwie sprawy: aby firma podała informacje o zarobkach oraz podejście do zdrowia psychicznego pracowników. Może to jest po prostu pokolenie, które ma

*Mają 25 lat
i na dzień dobry żądają
25 tysięcy na rękę*

odwagę mówić wprost o tym, o czym milenialsi bali się nawet wspominać?

BO DLA SZEFA KLIENT JEST WAŻNIEJSZY NIŻ PRACOWNIK

Paulina Wójciak, rocznik 1983, specjalistka ds. rekrutacji. Rekrutuje głównie na stanowiska IT.

– Wchodziłam na rynek pracy ponad 15 lat temu, gdy wyścig za sukcesem indywidualnym trwał w najlepsze. My, 40-latkowie, jesteśmy zaprogramowani, żeby w życiu zawodowym niczego nie luzować. Bo jesteśmy dziećmi PRL, które tylko w tym wyścigu się spełniają. Mamy się bez przerwy rozwijać zawodowo, awansować, coraz więcej zarabiać, a do tego jeszcze najlepiej wychować dzieci, chodzić na siłownię, latać na wakacje na Malediwy i w dodatku się wysypiać. Znajomi w moim wieku zgłaszają mi kryzysy. Mówią: „Zobacz, to już półmetek życia, a ja nie zacząłem realizować żadnego wielkiego planu na sukces. Coś tam się zadziało, awansowałem, dostałem kilka razy podwyżkę. I co, to tyle?” – pytają. Biegli, biegli, a teraz pytają: czym właściwie miał być ten sukces? Czy ja jestem „człowiekiem sukcesu”? Ale skąd mają to wiedzieć, skoro nie mieli czasu zdefiniować, co on dla nich oznacza?

Dwudziestolatkowie, których rekrutuję, też tego często nie wiedzą. Ale jednego są pewni: praca nie jest sensem ich życia. Kandydat nie chce być upocony na koniec dnia i mówi mi to wprost. A moje pokolenie uważa, że dzień był stracony, jeśli wieczorem nie pada się na twarz z wyczerpania. Tymczasem młodzi granicę między pracą a czasem wolnym stawiają automatycznie. Nie mają potrzeby tego wyjaśniać, dla nich to oczywiste, że nie będą odpowiadać na maile w soboty albo wyrabiać nadgodzin.

Rzadko kiedy trafiają się tacy, którzy chcą się „wykazać”. Większość aplikuje na stanowiska juniorskie na zasadzie: chcecie kogoś bez doświadczenia, więc nie muszą spełniać żadnych warunków, nie muszą rozumieć, na czym polega ta praca, niczego nie będziecie ode mnie wymagać.

Ostatnio kandydat powiedział mi: „Jestem, jaki jestem”. Ja dopytuję: „Czyli jaki?”. Nie wiedział. Albo kolejny: „Skończyłem 18 lat dwa lata temu, jestem dorosły, wiem, co mnie kręci”. „Super – mówię – to pogadajmy o tym”. „O czym?” – pyta on. „O tym, co cię kręci, co jest dla ciebie ważne”. „A, to nie wiem, musiałbym się zastanowić”.

Czasami ich szczerowość rozkłada mnie na łopatki. Miałam niedawno na rozmowie chłopaka, który na wejściu powiedział: „Chciałbym być testerem, ale na razie nikt mnie nie chce, więc przyszedłem do was”. On nie rozumie, że taka deklaracja spala go na wstępie.

Innego kandydata spytałam: „Czemu chcesz po pół roku odejść z pierwszej pracy?”. A on na to: „Bo pracownicy nie są tam dla szefa najważniejsi. Najważniejszy jest klient. A przecież pracownik powinien być numerem jeden!”. Nic nie odpowiedziałam, ale pomyślałam sobie: „OK, pracownik jest ważny, ale pieniądze nie spadają z nieba, zostawia je klient”.

Nie mam pojęcia, skąd się biorą takie oczekiwania. Z poczucia, że komuś wszystko się należy? A może po prostu z braku zrozumienia, jak działa świat? Koleżanki, które zarządzają zetkami, opowiadają o sytuacjach, gdy ktoś już zatrudniony potrafi siedzieć przez kilka godzin, patrząc w telefon i czekając, aż dostanie instrukcje, co ma robić. I znów: młody człowiek ma prawo czegoś nie wiedzieć i oczekiwać od firmy, że ona go wyszkoli. Ale czasem to idzie w stronę kompletnego braku inicjatywy.

4 TYSIĄCE W PIERWSZEJ PRACY MNIE NIE DZIWI

– Nasłuchałaś się? O tych strasznych zetkach, które wydziwiają podczas rozmów o pracę? – pyta **Mateusz Macha**, CEO i założyciel Humeo | Recruitment Geeks, agencji, która zatrudnia specjalistów IT dla największych firm technologicznych w Polsce i na świecie. I dodaje, że będzie adwokatem diabła. Bo po pierwsze: zatrudnia młodych we własnym biznesie, ma kilku pracowników z roczników 1998-2000 i jest z nich zadowolony. Jedną z tych osób odpowiadała przez trzy lata za cały dział marketingu, inna przygotowuje rozliczenia dla klientów, dwie kolejne prowadzą samodzielnie duże projekty. Wywiązują się ze swoich obowiązków w 100 procentach. – Umówiłem się z nimi na osiem godzin i dokładnie po takim czasie wyłączają komputer – mówi Mateusz. – Czy to świadczy

o lenistwie albo olewaniu? Absolutnie nie. Czasem mnie to irytuje, ale częściej myślę jednak: „OK, rynek pracy wreszcie zdrowieje”. A ja jako menedżer muszę tak zoptymalizować pracę, by mój podwładny w czasie tych ośmiu godzin nie marnował czasu na bezproduktywne spotkania i głupie zadania. To ja mam się głowić nad automatyzacją i usprawnianiem procesów. Młodzi pracownicy, gdy widzą, że wkładam w to wysiłek, a do tego są tak po prostu, po ludzku, zaopiekowani, też dają z siebie 120 procent – w ramach umówionych ośmiu godzin. Nie lubię opowieści o roszczeniowym pokoleniu Z, bo jako 33-latek, czyli urodzony w 1990 roku, pamiętam okres, gdy sam byłem nazywany tym okropnym, roszczeniowym milenialsem. Tymczasem wyrosłem na ludzi, mam własną firmę, zatrudniam pracowników. A moja „roszczeniowość” polegała wyłącznie na tym, że długo próbowałem odnaleźć się w życiu, miałem dużo pytań do szefów oraz – co za niespodzianka – chciałem za swoją pracę dostać pieniądze. Starsze ode mnie pokolenie tzw. boomerów zaciskało zęby, nie wychylało się i harowało na sukces. A ten często oznaczał po prostu kupowanie kolejnych domów albo samochodów. Milenialsom też trochę na tym zależy, ale jednak mniej. A zetki chcą przede wszystkim równowagi między życiem a pracą. To jest dla nich najważniejsze. Chcą też pieniędzy, ale to przecież normalne, bo trzeba zapłacić swoje rachunki. – Niektórzy stawiają chyba trochę zbyt wygórowane wymagania? – pytam. Mateusz: – Zdefiniujmy, czym są „wygórowane”. W Warszawie ceny za wynajem pokoju zaczynają się od 1,5 tysiąca złotych. A trzeba przecież jeszcze zjeść i zapłacić rachunki. Nie ma się co zatem dziwić, że człowiek bez doświadczenia, który przychodzi na rozmowę kwalifikacyjną do pierwszej pracy w tym mieście, prosi o 4 tysiące złotych na rękę. Ja się cieszę, że młodzi mówią o takich rzeczach wprost. To jak powiew świeżego powietrza, bo w tym kraju mało kto umie rozmawiać o pieniądzach. Mamy jako społeczeństwo zbiorowy syndrom oszusta, bo tak nam wdrukowano. Jak na pierwszym stażu dostałem 1000 złotych wypłaty, to wszyscy wokół mówili mi, że mam się cieszyć, że dostałem cokolwiek. Tak jakbym nie miał prawa upomnieć się o godną zapłatę za pracę. Dzisiejsi absolwenci mówią wprost: „Oczekuję, że będę miał z czego żyć”. Co w tym złego? Dzisiaj firmy, którym zależy na złapaniu młodych talentów, wychodzą na rynek z komunikatem w stylu: stawiamy na dobrostan pracownika, płacimy sensownie od pierwszego dnia, dajemy możliwość rozwoju. Z drugiej strony, gdy rekruterzy prowadzą już rozmowy, to rozmawiają z zetkami tak jak z 30-, 40- czy 50-latkami. Pytają o konkrety, sprawdzają motywację do pracy. Nikt nie zatrudnia zetkę na ładne oczy, one też muszą się czymś wykazać, nawet jeśli dopiero wchodzi na rynek. Rekruter może jednak pomóc w szybkim odniesieniu pierwszych sukcesów, dobierając właściwą osobę do stanowiska. Jeżeli wykonamy dobrze swoją rekrutatorską robotę, to zatrudnione osoby dużo szybciej odnajdą się w zawodowej rzeczywistości. Chociaż zdarza się, że ktoś bardzo młody bywa nieprzystosowany do tzw. realiów. Dużo rzeczy go dziwi, może dlatego, że był wychowany pod kloszem i ma zbyt idealistyczne podejście. Nie rozumie na przykład, że praca z ludźmi wiąże się z koniecznością kompromisów. Potrzebuje więcej czasu, by nabrać zawodowej dojrzałości. Łatwiej mają absolwenci studiów zaocznych. Wchodzą na rynek z jakimś doświadczeniem, bo po prostu musieli wcześniej pracować, żeby się utrzymać. Na ich przykładzie widzę, jak ważna bywa taka pierwsza praca studencka: w restauracji, barze, hotelu albo na sluchawce. Albo nawet prosta praca fizyczna. Sam taką miałem na studiach. Taki kandydat trochę już liczył życia społecznego. Wie, że szef też popełnia błędy. Nie dziwi go, że klient ma czasem uwagi do jego pracy. Ma świadomość, że czasem warto odpisać komuś na maila dla świętego spokoju, nawet jeśli jest po 17.00. A tym przecież jest praca. Nie tylko odbębnianiem obowiązków, ale też byciem wśród ludzi. ●

Wydaje ci się, że my, umiarkowanie ortodoksyjni Żydzi, wiemy, co się dzieje w rodzinach chasydów? Nie. Jesteśmy dla siebie tajemnicą

J.S. Margot

– Włącz wideo.
– Nie ma mowy.
– No włącz, chcę cię zobaczyć.
– Nie chcę.
– Nikt nas nie zobaczy. Rozłączę się i zadzwonię jeszcze raz. Odbierz jako połączenie wideo.
Dahlia chce wiedzieć, który piątkowy wieczór najbardziej nam pasuje. – Żebyśmy mogli się umówić na wspólne świętowanie szabatu.
– Nienawidzę rozmów wideo przez WhatsApp – odpowiadam.
– I know – odpowiada ze śmiechem. – Boisz się nieznanego. Wpadnij do mnie na kurs „WhatsApp i wszystko inne”. Nauczę cię używać kalendarza, organizować kontakty i foldery ze zdjęciami.
Dahlia siedzi w swoim gabinecie – ona też pracuje z domu. Pokazuje mi na kamerce całe pomieszczenie. Komputer, laptop, drukarki. Stosy kartek i plakatów. I na prawo od Dahlii jej stojak na perukę. – Patrz – robi zbliżenie. – Zdjęłam szajtl. To moje prawdziwe włosy.
Kieruje telefon na linię włosów na czole, która przebiega znacznie wyżej, niż gdy Dahlia nosi perukę.
– I tak po prostu o wszystkim mi opowiadasz – mówię zaskoczona.
– A dlaczego nie?
– Bo to chyba dość... dość intymne?
– Co jest intymne? Prawdziwe włosy? Czy peruka?
– Cała ta scena. Tak to jest z rozmowami wideo: raz za razem narusza się prywatność.
– Nie mam najmniejszego problemu z tym, żeby pokazać ci ten kawałek mojej prywatności! A poza tym już najwyższy czas na umycie i ułożenie szajtlu. Dlatego tam wisi. Nie mogę się zdecydować, czy od razu go zafarbować, czy jeszcze trochę poczekać. Jak myślisz? – przenosi kamerę z peruki na swoją twarz.
– Nie mam pojęcia – odpowiadam. Nie wiedziałam nawet, że peruki trzeba nosić do fryzjera.
– Moja peruka jest kosztowna – mówi Dahlia.
– Peruki z ludzkich włosów nie zawsze takie są, ale kupuję w sklepie internetowym, który jest pod nadzorem rabinów.
No jasne, myślę sobie, Pan w życiu nie zostawiłby choć jednego aspektu życia bez kontroli; razem z rabinami wymyślił maszgyjacha od peruk.
– Był taki czas, że Hinduski sprzedawały swoje piękne, ciemne pukle producentom peruk – opowiada. – Ale zgodnie z naszymi prawami nie wolno nam nosić peruk z włosów innowierców.
– Wiesz, że dowiedziałam się o WhatsAppie dopiero wtedy, gdy poznałam kobietę z ugrupowania Belz?
– My ciągle piszemy z dziećmi na WhatsAppie. Nie chcesz wiedzieć, ile niektóre rodziny płaciły za międzynarodowe rozmowy. Już choćby z tego powodu nawet najbardziej wierzący coraz częściej mają łącze internetowe i konto na WhatsAppie. To sposób, żeby zaoszczędzić. Gdzie i jak poznałaś tę kobietę?
– Na odczycie. Siedziała w pierwszym rzędzie, a po zakończeniu rozmawialiśmy jeszcze przez dobre półtorej godziny.
– To całkiem już niesamowite. Ile ma lat?
– Jakies sześćdziesiąt. Może sześćdziesiąt pięć.
– Czyli nie jest młodą kobietą, która rozważa odejście ze swojej społeczności? Kimś, kto chce porzucić chasydyzm i widzi w tobie bramę do nowego życia?
– Nie, jest zagorzałą belzanką. Wysłała mi żydowskie kawały. I artykuły o chasydach z zagranicznych gazet. A z filmików, które nagrywa, wiem, jak wyglądają jej kuchnia i taras. Przy jej stole siedzi czasem dziesięcioro wnucząt, uroczko to wygląda, jak pomaga im z zadaniami domowymi. I jak wszystkim im nakłada na talerz jedzenie.
– Ekscytujące. Nawet dla mnie. Tobie oczywiście się wydaje, że my, umiarkowanie ortodoksyjni Żydzi, świetnie wiemy, co się dzieje w rodzinach chasydów czy innych charedim. Tak nie jest. Jesteśmy i będziemy dla siebie nawzajem tajemnicą. Nawet jeśli mieszkamy na tej samej ulicy.

Dzielnica Diamentów w Antwerpii

MOJA PERUKA JEST KOSZERNA

• Ortodoksyjna para
w Antwerpii
– największym
skupisku Żydów
w Europie
• FOT. GETTY IMAGES



W szabat nie wolno pisać, nie wolno nawet wkładać kwiatów do wazonu. Między innymi dlatego Martinus i ja, z wiązką polnych kwiatów, stawiliśmy się w rześciszcie oświetlonym przedpokojem osiem minut przed oficjalnym rozpoczęciem uświęconego dnia odpoczynku. Przedpokój miał pozostać skąpany w świetle przez całą noc: aż do soboty wieczorem nie wolno dotykać kontaktów.

Kiedy przyszliśmy, drzwi wejściowe opierały się na wysuniętym ryglu. Wystarczyło je popchnąć, by zgodnie z żydowskim prawem wejść do środka bez dzwonięcia. Na białej szafie w przedpokoju ustawiono w rzędzie sześć czarnych pudeł na kapelusze.

Przybyliśmy jako pierwsi. Dopiero pół godziny po nas zjawily się jeszcze trzy kobiety. Dwóm towarzyszyły córki, a trzecia przyprowadziła ze sobą synka, a oko pięciolatka. Mężowie i synowie powyżej trzynastego roku życia byli na nabożeństwo w synagodze.

Gdy tylko weszliśmy, Dahlia zaprowadziła nas do kuchni: kiszkatowanego, wypchanego po brzegi przysmakami pomieszczenia, które tworzyły dwa niemal identyczne skrzydła. Były tu podwójne: piekarnik, zmywarka i lodówka. Wszystkie znajdujące się po jednej stronie przybory kuchenne, w tym fartuchy i magnesy na lodówkę, miały swoje odpowiedniki po drugiej.

Czekały na nas kuszące:

Purée z cukinii i purée z pasternaku.
Sałatka z fasolką szparagową, groszkiem, listkami młodego szpinaku i orzechami laskowymi.
Surówka z owocem granatu.
Różyczki pieczonego brokołu z tahini.
Pieczony w całości kalafior.
Ciecierzycza w pomidorach.
Dwa duże, głębokie naczynia z kurczakiem pieczonym w klementynkach.

Gefilte fisz w kolorze białym i różowym: karp i losoś. Oba przygotowane jako pasztet, pokrojone na plasterki, otoczone krążkami z blanszowanej marchewki oraz plasterkami buraków, całość udekorowana odrobiną majonezu chrzanowego.

Rosół! Dahlia nagotowała przynajmniej dziesięć litrów „żydowskiej penicyliny”.

Czulent, chaud lent. Kolejna tradycyjna potrawa szabatowa, której receptura jest przekazywana z pokolenia na pokolenie przez wieki w najróżniejszych lokalnych wariantach – właśnie dzięki surowym zasadom dotyczącym koszerności. To raczej pożywe niż aromatyczne danie o słodkawym zapachu dusi się tak powoli, że spokojnie może gotować się przez dwadzieścia cztery godziny na małym ogniu. Można wstawić je do piekarnika w piątek wieczorem i jeść na ciepło w sobotę w południe bez konieczności podgrzewania: gotowanie to forma pracy, zatem jest zabronione.

Kugiel! To kolejny szabatowy klasyk – babka ziemniaczana, która może przez długie godziny piec się w niskiej temperaturze, a jej smak tylko na tym zyskuje. Przepis rodziny Dahlii podaje pięć kilo ziemniaków. Ta ilość mówi coś o Weissach, o samej potrawie i o wszystkich, którzy są zapraszani do stołu.

Z wybiciem godziny dziewiątej w przedpokoju dziesięciu mężczyzn w czarnych garniturach zaczęło powoli i starannie zdejmować kapelusze. Zastanawiałam się, czy te nakrycia głowy, podobnie jak borsalino, wytwarza się z filcu z króliczej sierści i czy filc z króliczej sierści jest koszerny. Nie miałabym także nic przeciwko światu, w którym byłoby więcej kapeluszy o szerokich rondach.

Obdarzony głębokim głosem Naftali, gospodarz i pan domu, pobłogosławił żonę oraz rodzinę. Napelnił kielich winem, a następnie odmówił kidusz – poświęcenie wina i dnia odpoczynku. Po błogosławieństwie pojedynczo podchodziliśmy do umywalki w przedpokoju, gdzie myliśmy ręce wodą z dzbanka.

Naftali ze śpiewem na ustach porwał jedną z chał na kawalki, posypał je solą i rozdał wszystkim zgromadzonemu. Siedzieliśmy, dwadzieścia dwie osoby, przy odświętnie nakrytym stole, na którym leżał gęsto tkany obrus. Podobnie serwetki z tego samego kompletu miały wzór w małe menory, między którymi tańczyły hebrajskie litery. Jak wytłumaczył mi Daniel, najmłodszy syn w rodzinie, napis głosił „szabat szalom”. Chłopiec spytał, czy znam hebrajski alfabet, a kiedy odparłam, że mniej więcej rozróżniałam litery, ale zazwyczaj nie potrafię odczytać słów, które tworzą, wybuchnął śmiechem. Zaproponował, że może mnie uczyć. Był gotów robić to za darmo, ale nie stanowiłoby oczywiście najmniejszego problemu, gdybym chciała zapłacić mu troszkę za jego wysiłki.

Jeden z mężczyzn nie pasował do reszty towarzystwa. Wyglądał na dwadzieścia lat, był wysoki, dobrze zbudowany, opalony. Miał szczera, okrągłą twarz i nosił białą koszulkę z rękawkami, które ciasno opinały umięśnione bicepsy. Jego ciemnobrązowych włosów o zdrowym, mocnym skręcie nie przykrywała jarmułka. Chłopak grał w belgijskiej drużynie piłki nożnej, która dopiero co ściągnęła go z Izraela. – W szabat nie zostawiamy nikogo samemu sobie, zwłaszcza jeśli dopiero co przyjechał do kraju – wyjaśniła Dahlia.

Niestety izraelski piłkarz nie znał ani słowa po francusku czy niderlandzku, a jego angielski okazał się bardzo słaby.

Książka
J.S. Margot
(właśc. Margot
Vanderstraeten)
„Minjan. Moje
spotkania
z ortodoksyjnymi
Żydami”
ukazuje się 19 lipca
w wydawnictwie
Czarne



Jedliśmy i piliśmy przez długie godziny. Przy tym stole zastawionym półmiskami, misami i miseczkami, gdzie niektórzy goście delectowali się drugim daniem, podczas gdy ich towarzysze byli już przy piątym, panował zorganizowany chaos. W tym ogólnym zamieszaniu wszystko jednak szło jak z płatka.

Dahlia zostawia mi na WhatsAppie wiadomość głosową. Od razu słysząc, że jest podekscytowana. Opowiada o swoim drugim synu, dwudziestoletnim Jonathanie, który tymczasowo przebywa w Belgii – przez koronawirusa nie może wrócić do Izraela. Szadchen zeswatał go z dziewczyną z Antwerpii. Z dziewczyną idealną. Każdy byłby zachwycony, mając taką synową, a już na pewno Dahlia i Naftali. Dlatego ogromnie by chcieli, żeby pierwsze spotkanie między potencjalnymi małżonkami odbyło się w jak najlepszych warunkach, ale pandemia to uniemożliwia. Jest zima, dni są krótkie, jest zimno i szaro, nie można wysłać dzieci – używa tego słowa – na piknik, nie można zaprowadzić ich na ławkę w parku, a miejsce na randkę musi być romantyczne. Ale wszystko, co romantyczne, jest zamknięte, nieczynne są lobby wszystkich hoteli, wszystkie restauracje są zamknięte na siedem spustów, ona sama, Dahlia, całymi dniami wisiła na słuchawce, żeby jednak coś znaleźć, dzwoniła nawet do galerii handlowych w okolicach Antwerpii, okazuje się, że można po nich spacerować, ale wszystkie ławki są wyłączone z użytku, nie wolno na nich siadać, a poza tym kto uważa centrum handlowe za romantyczne miejsce, taki wybór mógłby przekreślić szanse na ciąg dalszy, na przyszłość, bo pierwsze spotkanie ma ogromne znaczenie, jeśli podczas niego oboje poczną miętę, to najczęściej później, przy kolejnych spotkaniach, wszystko też idzie dobrze, nie zawsze, oczywiście, może nawet nie „najczęściej”, ale pierwszy kontakt nadaje ton, to nie ulega wątpliwości. A oni nie chcą naciskać na syna, on musi się dobrze poczuć, jednak chcą też trochę mu pomóc, żeby poczuł się dobrze, i chcą także pomóc tej dziewczynie, bo przy swoim pierwotnym mieli ćwiczenia z cierpliwości, umawiał się z różnymi kandydatkami i przy każdej już po paru minutach pierwszego spotkania wiedział, że „nie, nie może dzielić z nią życia”, tak więc teraz w domu wszyscy wstrzymują oddech, bo gdyby Jonathan okazał się równie trudny co David, to wystawiliby na próbę cierpliwość wszystkich zainteresowanych, w tym swata, ale Dahlia tak wczoraj głośno pomyślała, wczoraj, kiedy lamali sobie z mężem głowy nad możliwymi miejscami na spotkanie, po tym, jak spędziła bezsenną noc na rozmyśleniach na ten temat, temat, w związku z którym dzwoni do mnie tak wcześnie rano: to nie może być przypadek, to przeznaczenie i pomoc z góry, ponieważ jej pytanie brzmi następująco: czy Martinus mógłby może na jeden wieczór otworzyć swoją restaurację dla Jonathanana i jego – miejmy nadzieję – przyszłej narzeczonej, no, nie tak naprawdę całkiem otworzyć, ale czy zamknięta restauracja mogłaby się otworzyć na jeden wieczór, tylko i wyłącznie dla nich, i czy Martinus mógłby do tego zostać ich opiekunem na ten czas?

Już następnego dnia Martinus oprowadza po restauracji Dahlia, Naftalego i Jonathanana. Jonathan jest wesoły i bystry. Wygląda bardzo młodo – zdaniem Martinusa „zdecydowanie za młodo na małżeństwo”.

Cała trójka przybyła zbadać teren. – Czy będzie w porządku, jeśli jutro napiję się alkoholu? – pyta Jonathan.

– Nie, Jonathan, na tym etapie picie jest wykluczone – wtrąca się szybko Dahlia. – Jeśli później dojdzie do zaręczyn, będziecie mogli otworzyć butelkę szampana. Ale do tego momentu lepiej trzymaj się z dala od alkoholu. Musisz być przykładem, synu. Plus, co też jest ważne: jesteś kierowcą, świadomym, trzeźwym kierowcą w moim samochodzie.

Następnego wieczoru Martinus opiekuje się – z najodleglejszej sali restauracji – dwójgim młodych ludzi, którzy po raz pierwszy spotykają się i rozmawiają w cztery oczy w osobnym pomieszczeniu.

Oboje wyglądają jak spod igły. Są nerwowi. Siedzą w odległości większej niż półtora metra.

Pojawiają się o ósmej, wychodzą chwilę po jedenastej. Piją wodę. Sporo się śmieją. Jak donosi SMS-owo Martinus, dziewczyna jest rozmowna i samodzielna, a to oczywiście mnie cieszy.

Po tym, jak para wyszła z restauracji, Martinus rusza na hulajnodze w stronę domu. Spotyka ich na chodniku, pochylonych nad smartfonami. Jonathan nie potrafi znaleźć parkingu ze swoim samochodem, z samochodem swojej mamy. Nie znają własnego miasta i poszli w złą stronę, Martinus pokazuje im drogę.

W marcu Dahlia dzwoni z kolejnym newsem, równie uspokojona, co podekscytowana: – Pobiorą się, gdy tylko rząd znowu pozwoli świętować. ●

Tytuły i skróty od redakcji

Zwolennik szkoły frankfurckiej ujawnia jej tajne przestanie!

Orliński



Często uczestniczę ostatnio w dyskusjach w internecie i w realu na temat pojęć takich jak „ideologia woke” albo „kultura unieważniania”, twierdząc, że te pojęcia nie mają znaczenia wychodzącego poza „wszystko, czego nie lubi prawica”. Spotykam wtedy czasem kontrargument typu „definicję ideologii woke można sobie sprawdzić w Wikipedii”.

No to proszę sprawdzić – wynika z niej, że to pojęcie zaczerpnięte ze slangu Afroamerykanów, którzy uświadomienie sobie tego, że żyją w rasistowskim społeczeństwie, nazywali w zeszłym stuleciu „przebudzeniem”. I dalej czytamy, że „konserwatyści używają tego pojęcia głównie jako obelgi”.

A więc mamy dwa znaczenia. Jedno dotyczy wyłącznie Afroamerykanów, a wśród polskich prawicowych publicystów nie ma chyba ani jednego. Kiedy więc oni mówią o „ideologii woke”, chodzi o drugie znaczenie.

Dla konserwatysty to po prostu obelga, nieprecyzyjna, a więc uniwersalna. Wszystko, co go wkurza, jest „woke”. A więc wracamy do mojej wyjściowej definicji.

Ciekawiej robi się, gdy próbujemy się dowiedzieć, co to właściwie za „ideologia”. W odpowiedzi słyszymy zazwyczaj triadę, że jest to postmodernizm, dekonstrukcja i szkoła frankfurcka.

To już są faktycznie istniejące prądy w filozofii, ale nadal to nie ma sensu o tyle, że głoszą one tezy sprzeczne ze sobą. Nie da się z nich sklecić jednej ideologii.

Najbardziej dziwi mnie w tym obecność szkoły frankfurckiej. Nie mam pojęcia, skąd prawicowa obsesja na jej punkcie – zwłaszcza polskim konserwatystom powinno się spodobać choćby to, że czołowi filozofowie tej szkoły jako pierwsi zadali pytanie o związek niemieckiej kultury z nazizmem.

Czy Hitler wydarzył się POMIMO zaawansowanej niemieckiej kultury, czy Z JEJ POWODU? To było centralne pytanie dla frankfurtczyków.

Sklaniali się ku tej drugiej odpowiedzi. Kto dziś twierdzi, że skłonność do przemocy i autorytaryzmu Niemcy „mają we krwi”, nieświadomie głosi „ideologię woke”.

Doświadczenie nazizmu było najważniejszym, co się wydarzyło w życiu filozofów z tej szkoły. Nie wszyscy zdążyli uciec, część zginęła (np. Walter Benjamin). Reszta próbowała zrozumieć, co się właściwie stało w Niemczech. Z przerażeniem widzieli też w USA znajome mechanizmy.

Główne dzieła tych filozofów wyszły po polsku, więc zamiast

czierać „wiedzę” z internetu, wystarczy się pofatygować do biblioteki. Osobiście polecam „Dialektykę oświecenia” Maxa Horkheimera i Theodora Adorno oraz „Mieć czy być” Ericha Fromma, najlepiej w parze z „Ucieczką od wolności” tego samego autora.

Wakacje to świetny czas na czytanie grubych książek, serdecznie zapraszam więc do wyciągania własnych wniosków z samodzielnej lektury. Gdybym miał streścić główne tezy frankfurtczyków w jednym akapicie, wyglądałoby on tak:

Dwudziestowieczny kapitalizm osiągnął niewątpliwe sukcesy w produkcji dóbr materialnych i racjonalizacji procesów społecznych. Tylko że wolności od tego wcale nie przybywa, a nawet jakby wręcz ubywa.

To wszystko. To jest szkoła frankfurcka w dwóch zdaniach.

Postmodernista powie: „I co z tego?”. A dekonstruktywista zapyta: „A co to jest wolność?”. I mamy już streszczone wszystkie trzy składniki.

A gdzie tu „ideologia LGBT”, gdzie tu „dążenie do zniszczenia zachodniej cywilizacji”, gdzie seks, narkotyki i rock and roll? No właśnie... nigdzie?

Oczywiście, możemy na TikToku zobaczyć youtubera, który usłyszał od znanego podcastera, że ktoś na Twitterze napisał, że szkoła frankfurcka to właśnie wszystko powyższe. Zauważmy jednak, że ci ludzie nie popierają swoich tez konkretnymi cytatami z konkretnych dzieł szkoły frankfurckiej. Jeśli kogoś cytują, to siebie nawzajem.

Te dzieła każdy może sobie sam przeczytać i wyrobić własne zdanie. Trzeba tylko wyłączyć internet i włączyć myślenie.

Przez znaczną część życia zawodowo zajmowałem się popkulturą, szczególnie bliski jest mi więc cytat z „Dialektyki oświecenia”, w którym Adorno i Horkheimer kpią z krytyków filmowych ekscytujących się „produkcjami Warner Brothers i Metro Goldwyn Mayer”, które są do siebie podobne jak „samochody Chryslera do samochodów General Motors”.

Każdy zapalony kierowca ma zdecydowane zdanie o wyższości jednej marki nad drugą, ale w głębi duszy widzimy, że to jak z popkulturą. Wszystkie serwisy streamingowe, piosenki pop i filmy o superbohaterach są do siebie podobne, chociaż oczywiście można do upadłego dyskutować o różnicach między Batmanem, Supermanem, Iron Manem i Spider-Manem. Albo między Beyoncé a Rihanną. Dobrze to wiem, bo uczestniczyłem i w takich sporach, i w sporach o wyższość Hondy nad Toyotą.

Czy frankfurtczycy proponowali bojkot kin i motoryzacji? Nie. Apelowali tylko do czytelnika, żeby miał inne życiowe cele niż „praca, samochód i sport”.

Czego i państwu życzyć jako zwolennik tej filozofii.

Wojciech Orliński

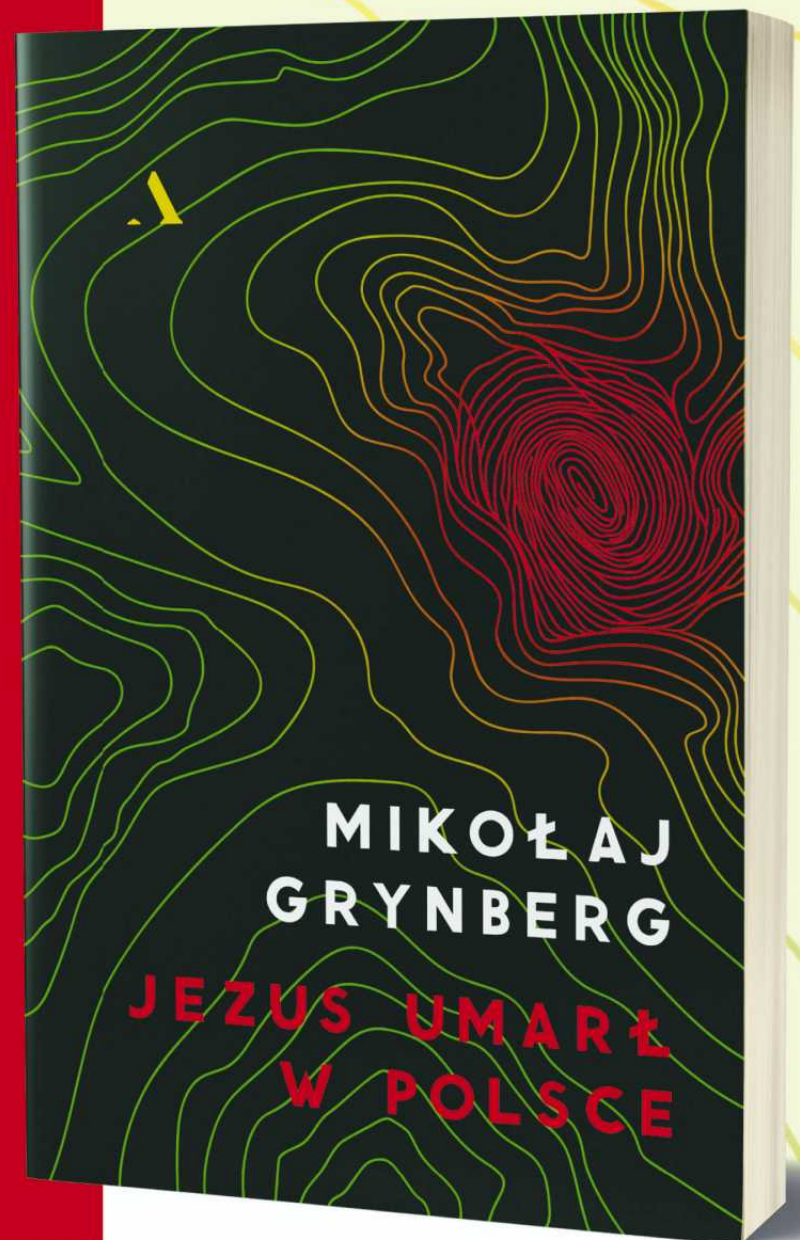
ŚWIADECTWA ZE STREFY ŚMIERCI

NA GRANICY
POLSKO-
-BIAŁORUSKIEJ

”

Nikt nie jest bardziej niż MIKOŁAJ GRYNBERG uprawniony do napisania tej książki, do wysłuchania opowieści dzisiejszych Sprawiedliwych i niesprawiedliwych z Podlasia. Bo łączą się tu stare i dzisiejsze traumy, wyzwania i wybory. Tajemnica zła wydaje się stosunkowo łatwa do rozszyfrowania. Mało komu natomiast, nawet spośród tych największych, udało się wyjaśnić tajemnicę dobra. Ta książka jest piękną i uczciwą próbą zrozumienia.

AGNIESZKA HOLLAND



DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA  **publio.pl**

 **Wydawnictwo
Agora**

Metoda na Krzysia

Anderman



To mniej popularne określenie, więc osobom, które nie wiedzą, o co chodzi, należy wyjaśnić, że ta technika działania inaczej nazywa się: na krzywy ryj. Oczywiście nie można jej stosować bez końca, a zdemaskowany wreszcie osobnik zostaje wykluczony z towarzystwa.

Ostatnio został otwarty tunel w Świnoujściu. I dwa lata temu, kiedy zainaugurowano budowę, i teraz, gdy została ukończona, teren obsiedli prezes i jego drużyna. Wcześniej, z powodu pandemii, wszyscy byli jeszcze w maskach Zorro, który, jak wiadomo, niezawodnie przychodził z pomocą potrzebującym. Podczas otwarcia tunelu maski były już zbędne i widać było, jak na licach dygnitarzy pieni się duma. Tak, PiS znowu się sprawdził i tunel to kolejny pomnik partii. Kosztował ponad 912 mln. 775,6 mln stanowiło dofinansowanie z funduszy Unii Europejskiej, 136,9 mln wyasygnowano z budżetu miasta.

PiS dwoi się i troi, by zrobić obywatelom dobrze albo i jeszcze lepiej. Właśnie podarował Polakom darmowe przejazdy autostradami, które są utrzymywane z ich podatków. To ładnie brzmi: darmowe autostrady. Właścicielka że za rządów PO-PSL oddano do użytku 884 km autostrad, a za rządów PiS – 237 km. Przy czym pisowska darmochą dotyczy dwóch odcinków.

To wszelkie dobro, które płynie z Nowogrodzkiej i zalewa Polskę, ma jedną przyczynę, którą wyjawil ze wzruszeniem, przechodzącym w szloch, Mateusz Morawiecki: „Państwo PiS jest pełne miłości”. Miłości nieprzemijającej i jeśli ktoś chce kolejnych fruktów, musi na PiS głosować. Stawką będzie „suwerenny, samodziel-

ny byt” – umyślił zatroskany Morawiecki. Bo „wybory rozstrzygną o tym, czy będziemy mogli dalej realizować nasze marzenie, jakim jest dostatnia Polska, która żyje na poziomie bogatych państw Europy Zachodniej”. Idzie marzycielowi o „państwo silne dla słabszych, wyrozumiałe dla słabszych [...] ale poskramiające tych, którzy lubią łowić ryby w mętnej wodzie, zerować na tkance społecznej”.

Na szczęście tych słabszych jest coraz mniej, bo jak wtlaczano do głów za Gierka, Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej. Te tendencje można rozpoznać nawet po butach. Z „Wiadomości” TVP można się było dowiedzieć, że krwio pijca Tusk miał na nogach buty o wartości 3364 zł. Tak obliczyli ci spece od każdej roboty. W tej sprawie zakiwał się nawet zawsze prawdomówny poseł Suski: „Niektórzy ludzie nie zarabiają tyle przez cały miesiąc”. Niestety nikt Suskiego nie poinformował, że od początku roku 2023 minimalna pensja brutto wynosi w Polsce 3490 zł.

Suski, jako specjalista obuwniczy i zadziwiająco bystry obserwator, nie poprzestał na ostatnio zbadanym obuwiu Tuska. „Parę lat temu, kiedy Tusk był jeszcze w Sejmie, zwróciłem uwagę na jego buty, ponieważ miały taką grubą, wysoką zelówkę. Znaczą ten obcas taki miał, prawie jak damski, tylko że szeroki”.

Dlaczego Tusk się wywyższa? Suski już wyniuchał: „On jest niewielkiego wzrostu, a przedstawia się go jako takiego rosnącego, dużo większego od Jarosława Kaczyńskiego, a oni są podobnego wzrostu”. Tu, rzecz jasna, Suski powinien sobie odgrzyźć jęzor, bo podkreślanie, że Tusk to w rzeczywistości mikrus jak Kaczyński, to jazda po brzytwie. Gdyby mu dopisał refleks, powinien jak z nut wyśpiewać, że Tusk ma drogie buty, bo okradł Polskę, a Kaczyński wszystkie swoje buty rozdał biednym dzieciom oraz wdowom i dlatego dwa lata temu pojawił się na zjeździe założycielskim Partii Republikańskiej w dwóch różnych kamaszach, bo tylko takie mu nie do pary zostały.

Jednak nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprzeczy, że PiS dba o potrzebujących. Tak zwany Fundusz Kościelny w roku 2022 wyniósł

200,2 mln. W tym roku, choć liczba księży systematycznie spada, a młodzi nie garną się pod suknię, wzrósł do 216 mln. Z tych pieniędzy opłaca się składki zdrowotne i emerytalne dobrodziejów, których na takie ekscesy zwyczajnie nie stać. Więc podatnicy, nawet niewierzący, bułają z pieśnią na ustach.

Skąd Morawiecki tyle forsy ma? Ma nawet więcej, bo dysponuje rezerwą budżetową, którą normalnie wykorzystuje się na przykład w wypadku klęsk żywiołowych. Ale ponieważ dzięki PiS klęski żywiołowe u nas nie występują, jest z czego ssać. Centrum Krucjaty Wyzwolenia Człowieka dostało z tej rezerwy niemal 30 mln. Trudno dociec,

Obiecała nagabującej ją dziennikarce TVN, że zabierze głos w tej sprawie, ale pod pewnym warunkiem: „Pani redaktor, dopóki nie przeprosicie za ten beznadziejny, wstrętny atak na Ojca Świętego Jana Pawła II, to żadnej odpowiedzi ode mnie nie usłyszycie”. A dla przypomnienia: reportaż Marcina Gutowskiego „Franciszkańska 3” dokumentował fakty ukrywania pedofilii wśród księży przez Karola Wojtyłę, gdy był on metropolitą krakowskim.

Metodą na Krzysia zgrabnie posługuje się związana z posłem Kukizem Fundacja „Potrafisz Polsko!”. Pewnie, że potrafi. Fundacja już wcześniej do-

Ponieważ dzięki PiS klęski żywiołowe u nas nie występują, jest z czego ssać. Centrum Krucjaty Wyzwolenia Człowieka dostało z rezerwy budżetowej niemal 30 mln

na czym polega proceder wyzwalania człowieka dzięki krucjacie w centrum, ale brzmi dobrze aż do zawrotu głowy. Gdyby jednak ktoś był zanadto dociekliwy, to się dowie, że chodzi o górski ośrodek wypoczynkowy, którym będzie zawiadywał Kościół katolicki.

Za tym zbożnym dziełem lobbował poseł Kowalczyk, były minister rolnictwa, a więc człek w dziedzinie krucjat nadzwyczaj kompetentny: „Bardzo się cieszę, że udało się namówić pana premiera Mateusza Morawieckiego do wsparcia tej budowli. To jest niezwykle ważne. Powiem szczerze, że nie trzeba było długo namawiać”.

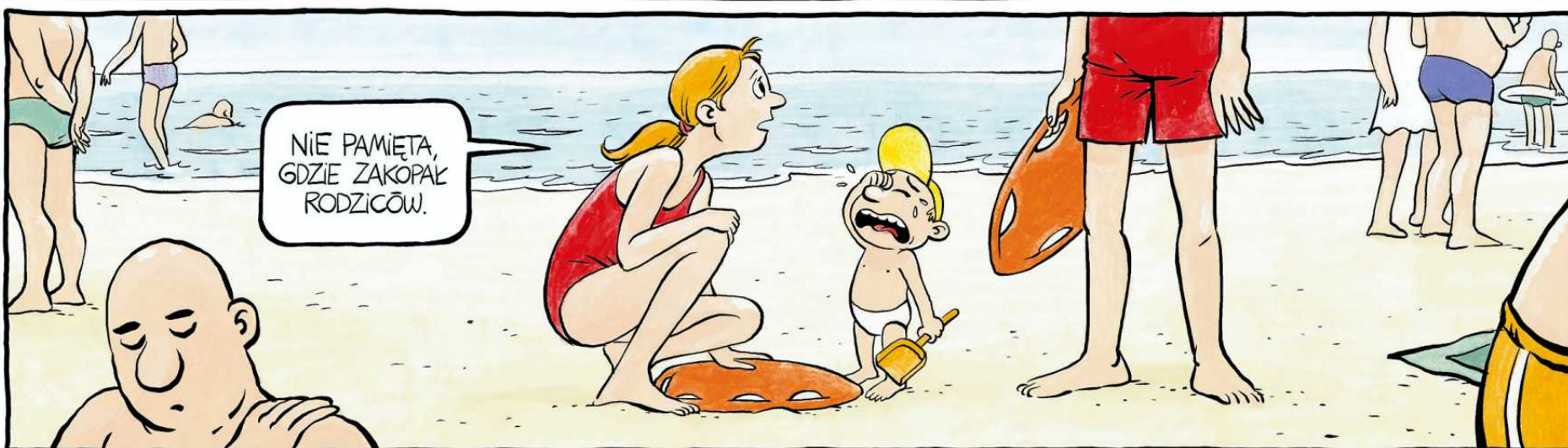
Centrum powstaje w Krościenku nad Dunajcem, w miejscowości, w której posłanka PiS Paluch, jako osoba uboga i potrzebująca, płaci za mieszkanie komunalne 116 zł miesięcznie. Konkretnów nikt nie zna, bo Paluch poszła w zaparte i milczy, chociaż trzeba jej oddać sprawiedliwość.

stała od Morawieckiego 4,3 mln. Teraz złożyła wnioski o kolejne miliony. Jak sobie co do grosza wyliczyła, zadowolona suma 3 177 315 zł. Po co fundacji tyle kasy? Cel jest bardzo poważny i szczytny: fundacja z całą należytą jej powagą oświadcza, że zamierza „upamiętniać cmentarze”. Jak chce tego dokonać? Filmując je za pomocą dronów. A taki dron to nie jest tania rzecz. ●

Janusz Anderman

POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK &
RAFAŁ SKARŻYCKI

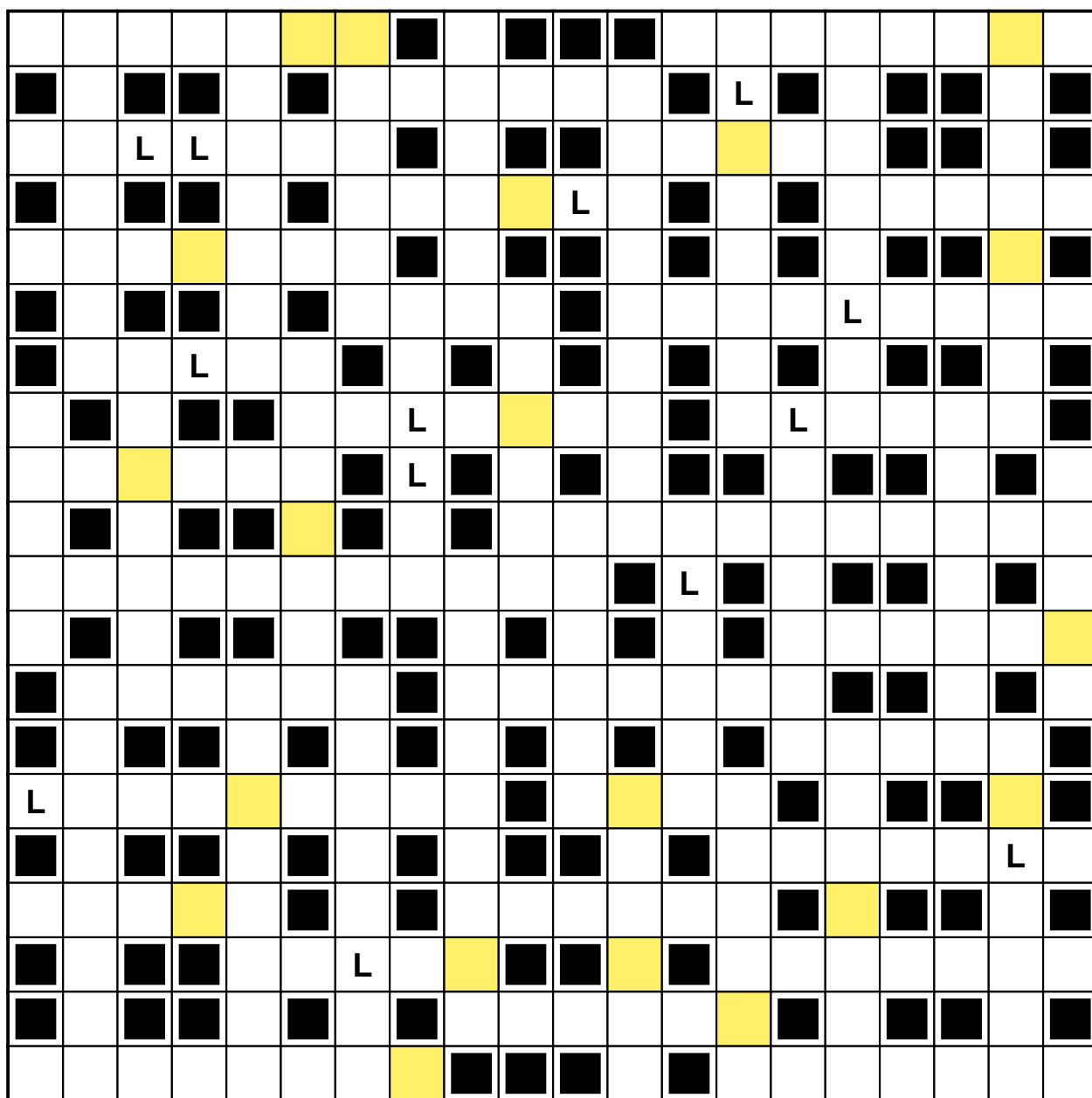


jolekka

59

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery L. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- agent z filmu „Moonraker”
- agrop pracownicy
- atramentówka (zartobliwie zwana plujką) lub igłówka (coraz rzadziej spotykana)
- błyskają, gdy gwiazda pojawia się na czerwonym dywanie
- ... Bohatyrowicz, stryj Jana („Nad Niemnem”)
- budynki jak drapieżniki
- ... Całowanie, w rezerwacie przyrody niedaleko Otwocka
- część gramatyki obejmująca koniugację i deklinację; fleksja
- dobry wieczór, sąsiedzie, przepraszam za ..., ale jest problem
- dolnośląskie miasto, w którym kręcono sceny do filmu „Sami swoi”
- drzewko leśnego warchlaczka?
- Henri de Toulouse-..., francuski malarz postimpresjonista
- imię męża Kate Middleton
- imitacje w witrynach sklepów
- Irtysz dla Obu
- istota kopalna o cechach ludzkich i małpich
- klekoty, gruchoty
- klub piłkarski z Nowej Rudy, Gliwic
- Kobe, gwiazdor NBA, zginął w katastrofie lotniczej
- ... Lipko (zm. 2020), wieloletni klawiszowiec Budki Suflera
- miasto ostatniego tanga
- mieszkaniec andaluzyjskiego miasta kojarzącego się z cyrulikiem
- muszą mieć sieć
- na choroby są ... (przysłowie)
- na swą zgubę podpatrzył Artemidę w kąpiel
- Neil Tennant i Chris Lowe
- organizm
- orzeszek ziemny
- oślica przemówiła ludzkim głosem, gdy go ujrzała (w Biblii)
- pierwsza do akupunktury



- piękne, rasowe konie
- piosenka artysty X w wykonaniu artysty Y (z angielskiego)
- plazma, w której zawieszono są krwinki
- potocznie: wóz ciągnięty przez konia
- przedrzeźniał ogrodniczkę w wierszu Jana Brzechwy
- przewóz towarów z kraju A do kraju B przez kraj C
- przyjdzie i wyrówna
- rzuca na innych kalumnie; insynuator
- ... Sienkiewicz, wykonawczyni piosenki „A mną nie chce ponieierać nikt”
- spokojne miejsce z dala od zgiełku; ustronie
- stolica kraju kangurów
- ślepa kura: – Jest! Hura!
- ślepy ..., oddany nabożem ćwiczebnym
- to nie dla mnie – znowu urwał mi się wążek...

- Tomasz, siedmiokrotny mistrz świata na żużlu
- turystyczna stolica Sycylii
- uprawia wolnoamerykanke; zapaśnik
- urodziwy młodzieniec o harmonijnej budowie ciała (skojarz ze starożytną Grecją)
- w mitologii greckiej: tytan dźwigający sklepienie niebieskie
- wieś z szeregiem zabudowań po dwóch stronach głównej drogi
- wschodniosłowiańska grupa etniczna; Rusnacy
- zajmuje się leczeniem chorób ucha
- znaczek w kształcie litery V (skojarz z odfajkowaniem sprawy)
- zwrot pozbawiony głębszej treści; slogan, banał
- zartobliwie i przestarzałe o niedorośle dziewczynie; podłotek
- żona Konrada Wallenroda

Rozwiązanie z poprzedniego numeru: Dokumentacja naukowa.

Rzędami: przygoda, błędny druk, trening, Ropuch, bambus, wody, Bagdad, Borneo, motocykl, Ustroń, kiangi, karakale, Rio de Janeiro, rymarstwo, komputery, pertraktacje, wystawca, hangar, szepty, Bukartyk, Gerard, emiter, zera, Lennon, liryki, córeńka, palmiarnia, Wyszki.

Kolumnami: album, galop, ogary, Emade, Ziobro, astygmatyzm, cykor, Gatsby, rodzina, Lutek, Deep Blue, toster, rota, macki, ciągutki, jupitery, Łągwa, Duke, odyńce, wybrańcy, Jimmy, narybek, kolarz, Ustka, departament, Ranczo, Edgar, ruchy, Kahlo, konew.

Miej oko na jolekka

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34182171

Redaktor prowadzący: Ariadna Machowska. **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielas, Zuzanna Bukłaha, Mariusz Burchart (red. naczelny), Piotr Głuchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Szyfko, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wójcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Piszą dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarniecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wleki, Ewa Wołkanowska-Kotodziej. **Grafik:** Dariusz Filippek. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafał Szczepankowski. **Korekta:** Klaudia Smulska. **Adres redakcji:** ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa. tel. 22 555 46 37, e-mail: duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.